



Foto: M. Zajdler

Pozdrowienia znad morza przesyła...

MARIUSZ DOROŻYŃSKI

Groteskowo wyglądają starsi panowie i panie pływający w piaszczystym przejściu, wiodącym przez wydmy na plażę; obciążeni leżakami, dmuchanymi materacami drobia, przebijają nogami, bo piasek przypomina dziś rozżarzone węgle. Wielu woli nawet brnąć w sandałach czy tenisówkach, zamiast wykonywać „taniec świętego Wita”.

Lato faktycznie sprawiło wszystkim w tym roku miłą niespodziankę. Rolnicy mogli spokojnie zebrać z pól swoje plony, a po opaleniznę nie trzeba było jechać do Bułgarii czy Rumunii. Koszt wyprawy nieporównywalny, a słońce w lipcu i sierpniu rzeczywiście prażyło nad Bałtykiem nieśmiertelnie.

Na przełomie tych dwóch miesięcy Świnoujście zapchane było wczasowiczami jak za „starych, dobrych czasów”. Nie tak znów odległych, ale wspomnianych niemal z rozrzewnieniem, bo to i ceny były od lodów do kwatery włącznie jakiejś innej, niższe jakby, turystów „promowych”, naszych i zagranicznych nie brakowało, a i do NRD tych parę kroków można było w każdej chwili skoczyć. Na piwo choćby. Toteż jeszcze dwa lata temu, w tak zwanym sezonie, przez to liczące blisko 50 tysięcy mieszkańców miasto przewijało się w różne strony grubo ponad 1 milion turystów.

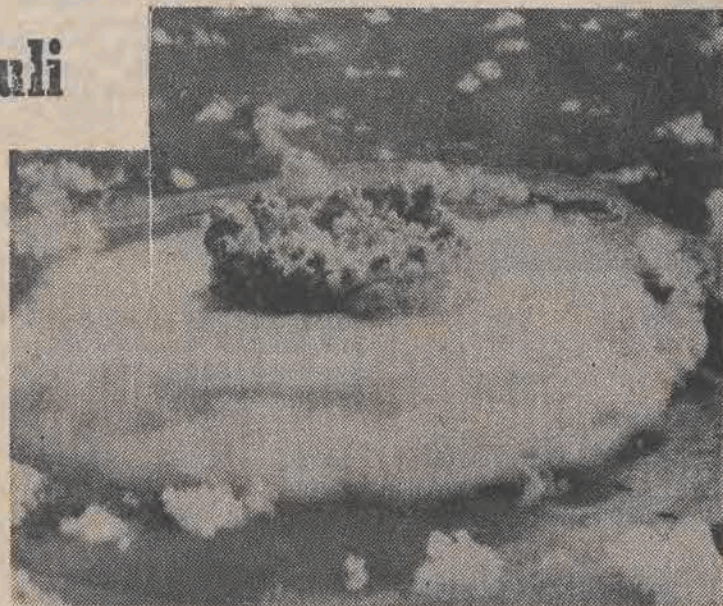
A w roku bieżącym? Wiadomo. Skończyły się wyprawy do NRD, wielka turystyka zagraniczna kuleje, ceny skoczyły w górę. Nie spodziewano się więc wielu wizytujących Świnoujście. Tymczasem już od czerwca zaczęła się niespodziewana wędrownia ludów na zachodnie wybrzeże i dziś szacuje się, że do końca sezonu Wolin, Uznam i okolice odwiedzi... znów ponad 1 milion spragnionych wypoczynku krajan. Zawdzięczać to należy w jakimś stopniu smutnym nowinom o zamknięciu dla prawdziwego wypoczynku wschodniego wybrzeża oraz faktowi, że dziś na miarę sensacji, iż w Szczecińskim nie wycinają... kartek na mięso! Po takich rewelacjach drobnym tylko argumentem jest brak w Świnoujściu Funduszu Wczasów Pracowniczych, a w zamian — mnogość domów wczasowych należących do dużych w skali kraju zakładów pracy, hut, kopalń. Tak czy owak — absolutnie wszystkie miejsca wypoczynku, czyli tzw. kwatery, były i są zajęte.

Ale skończmy z tymi „filozoficzno-socjologicznymi” rozważaniami, zobaczmy co słychać

NA PLAŻY

W Świnoujściu, przynajmniej tym lewobrzeżnym, do którego — dodatkowa frajda — przedostać się trzeba promem, jest ona rzeczywiście ładna, szeroka, granicząca z malowniczymi wydmy i schodząca ku czystym wodom (?) Bałtyku. Niezależnie od tego jakim dobrym prądem zawdzięczać trzeba, że bijące o brzeg fale nie przypominają tłustej, szarej bryły z zatoki Puckiej czy Gdańskiej, jest faktem, że woda jest tu czysta. No i te temperatury! Kto pamięta ostatnimi laty kąpiel w wodzie niemal „gotowanej”, bo o temperaturze 23–25 st. C? A że dno piaszczyste, łagodnie obniżające się, więc w niektóre dni trudno było obliczyć czy więcej rodaków przeżywa w morzu, czy zżywa katuszy w koszach i leżakach. No i ten znany, przez cały rok oczekiwany nastrój, swoisty klimacik plaży z nieodłącznymi atrybutami: koc, olejek, tabuny maluchów pracowicie drążących dziury w piachu, mowy cierpliwie wyczekujące okrucich chleba, i facet w marynarskiej czapce, który aż tu przystanął swoją bryczkę z kućm i malpką, a kolorowe zdjęcie kosztuje tylko 300 złotych. I „Lody Bambino, śmietankowe loody”... „świeże drożdżoweczki”... „ogórasy pierwszej klasy”... i klasyczna „cytrynada”... Swojsko, sympatycznie, z dala od codziennych trosk i kłopotów. Słońce praży niesamowicie, na jutro prognozy bez zmian, a więc precz zmartwienia. I nawet niespecjalnie drażni Cię facet, który z miniaturowego moła, jak z minarefu, wykrzykuje co pewien czas smętne teksty, powtarzane przez zachrypnięte głośniki: „Informujemy plażowiczów iż kąpiel dla nie umiejących pływać dozwolona jest do żółtej boi, a dla umiejących — do czerwonej,

- Zabójczy żar ognistej kuli
- Dziennikarskie wspomnienia Adama Ochockiego
- Suwalskie KRAJOBRAZY
- Prześwietlenie Rzgowa
- Drugi start samorządu



Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 21 (1274) ROK XXV

27 SIERPNIA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ



Foto: Archiwum

Gdzie woda, lasy, gdzie powietrze świeże...

...ale nie tylko to. Województwo suwalskie, bo ono to będzie prezentowane dziś czytelnikom, zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na unikalne już dziś walory przyrodnicze i turystyczne. Jest to region o niezwykle bogatej przeszłości, którą uważny obserwator potrafi dostrzec nie tylko w starych księgach, regionu frapującego przeciekawym układem narodowościowym, region, w którym jak w wielkim tyglu od kilku dziesięcioleci miesza się ze sobą, przenikają — i ciągle, mimo to, zachowują swoją odrębność — kultury kilku narodowości, wyznań religijnych.

Jednakże faktem jest, że pierwsze, co rzuca się w oczy, to zewnętrzna szata tego regionu. Od niej więc zaczynamy.

Kiedy przed kilkoma laty powstało woj. suwalskie postanowiono, że będzie to „turystyczne zagłębie” lub też raczej „zagłębie wypoczynku” dla mieszkańców całego kraju. Stąd też w granicach tego właśnie województwa zamknięto wszystko, co

jest najpiękniejsze w tej części kraju — stare puszcze, tysiące jezior, dziesiątki pięknych rzeczek i strumyków. Taki to już region, gdzie wszystkiego jest dużo, a wszystko budzi zachwyt. Wystarczy spojrzeć na mapę tego województwa.

Od zachodu wkraczamy w krainę Mazur i Wielkich Jezior Mazurskich ubranych w bory dwóch puszczy — Piskiej i Boreckiej. Już tylko nazwy miejscowości — Pisz, Mikołajki, Ruciane-Nida, Giżycko, Węgorzewo — mówią, że jesteśmy w krainie, gdzie od lat wypoczywa każdego roku wieloletni ścący mieszkańców kraju.

I tu uwaga: te setki tysięcy ludzi, taka to już moda, zwalają się tu w lipcu i sierpniu, właśnie te miesiące to absolutny szczyt urlopowy. Pekają wtedy w szwach domy wypoczynkowe, pełne są plaże, restauracje i kawiarnie, trudno o nocleg. A tymczasem nie od dziś to

Przegląd prasy

JAK ZREALIZOWANO POROZUMIENIA

W wywiadzie dla tygodnika „Prawo i Życie” Kazimierz Barcikowski przypomniał: podpisał przed dwoma laty w imieniu władz porozumienie z Komitetem Strajkowym w Szczecinie — mówi:

„Samo pojęcie porozumienia zakłada, że zawiera je nie jedna strona, a co najmniej dwie. Trzeba zatem rozpatrywać jak obie strony realizowały porozumienie. A była to sprawa o zasadniczej wadze. Porozumienia stwarzały bowiem możliwości osłabienia pewnej nowej jakości w życiu kraju. Trzeba powiedzieć, że szansa została zmarnowana. Co więcej, kraj stopniowo pograżał się w kryzys, następowała anarchizacja stosunków społeczno-gospodarczych, co w efekcie doprowadziło do wprowadzenia stanu wojennego. Trzeba było nadzyszczyć środków, by przeciąć ten rozwój sytuacji.

Po podpisaniu porozumienia partia i rząd były ciągle oskarżane, że ich nie realizują. A działacze „Solidarności”, organizując w tym samym czasie stały nacisk na władze państwowe, na partię, w istocie kłepowali możliwość wykonania porozumienia. Nieraz były publikowane informacje, co władze państwowe wykonały z porozumienia. Jeszcze niedawno wracaliśmy do tej sprawy i mogłem powiedzieć, że głównie, najważniejsze punkty porozumienia zostały wówczas zrealizowane. Jeśli nie wszystkie, to m. in. dlatego, że wobec postępującego spadku produkcji nie znajdowano dość środków na materialne zabezpieczenie niektórych spraw. Oczywiście wykonanie postanowień było przedmiotem ostrych dyskusji, starć. Nie można jednak uznać za normalne odstępstwa od ducha i litery porozumienia ze strony nowych związków zawodowych. Proponuję sięgnąć do tego co było politycznym porozumieniem, a przede wszystkim do zapisów o przestrzeganiu konstytucyjnych zasad państwa. Przecież było to zadeklarowane, uroczyście zadeklarowane. Już przy rejestracji okazało się jednak, że jest to dla przywódców „Solidarności” nie do przyjęcia.

Ostrzejsze, bardziej krytyczne spojrzenie na tzw. porozumienia sierpniowe prezentuje Jerzy Urban w „Tu i Teraz”. Artykuł pt. „Zapis rozbieżności” zawiera takie stwierdzenia: „...dramatem politycznym, dramatem socjalizmu była sytuacja, kiedy władze państwowe, występujące jako strona podpisujący pakt z przedstawicielstwem robotniczym, występującym jako druga, wysoka, układająca się strona. Wszyscy powinniśmy przagnąć, aby sierpień 1980, aby tego typu porozumienia już nigdy się nie powtórzyły. (...) Sierpień 1980 to antyczny wręcz

DRAMAT WŁADZY PODPISUJĄCEJ ZOBOWIĄZANIA

wśród których są także niekorzystne dla narodu i państwa bo pobudzające długofalowe fatalne skutki ekonomiczne, podpisującej dalej obligacje nierealne. Weźmy bowiem te mieszkania dla wszystkich w parę lat. Gdyby czynniki podpisali stworzyć mieszkania dla każdego, już dawno przecież każda sprzątaczką oprowadzałaby cudzoziemców po własnym pałacu. Dodajmy też, że ustanawiane w porozumieniach wolne

soboty nie sprzyjały liczniesze-mu budowaniu mieszkań, a podwyższy plac, podnosząc koszty robotniczy, czyniły przecież domy mieszkalne droższymi niż dotychczas”.

Najistotniejszą część tekstu Urbana dotyczy nacisku politycznego i ekonomicznego wywieranego na Polskę i jej sojuszników przez administrację Reagana:

Jak wiadomo pewna ilość amerykańskich ładunków termojądrowych stale wycelowana jest w Polskę. Dzielą się one na bomby i pociski, a te są dalekiego i średniego zasięgu, wystrzeliwane z lądu, powietrza i morza. (...) Okoliczność ta wskazuje na pewien relatywizm wyrażanej w Białym Domu troski humanitarnej o to, jak się też nam żyje. (...) Czy jeśli jutro zniesiemy w Polsce stan wojenny, zwolnimy wszystkich internowanych, w tym Lecha Wałęsę, a odpowiedni przedstawiciele władz rozpoczną nie tam rozmowy, ale zbiorowe pieszczoty ze swoimi politycznymi przeciwnikami, to czy wówczas Stany Zjednoczone w zamian za spełnienie ich żądań zechcą może śmiertelną porcję ładunków termojądrowych zarezerwowaną dla Polski wycelowaną w wyspy Bahama?”

SUMIENIE WOJEWODY

Były wojewoda poznański Stanisław Cozas udzielił wywiadu tygodnikowi „Przegląd Tygodniowy”. Mówi m. in.:

Popularność zyskałem dzięki „Gazecie Poznańskiej”. 11 stycznia tego roku ukazał się w niej wywiad „Chude i grube ryby w prowincjonalnym stawie”. Pan redaktor a i pan prokurator wymienili pełne imiona i nazwiska podejrzanych oraz treść zarzutów. Akapit o mnie brzmiał: „Ostatniego grudnia ubiegłego roku skierowaliśmy do sądu akt oskarżenia przeciwko byłemu wojewodzie poznańskiemu, Stanisławowi Cozasowi, o to, że nadużył uprawnień przy rozdziale talonów samochodowych”.

Sąd uniewinnił wojewodę. Na pytanie, czym się teraz zajmuje, Stanisław Cozas odpowiada: „Mam 59 lat i dużo pracy, mimo iż jestem na emeryturze. Porządkuję swoje dokumenty. Staram się pomóc ludziom, którzy w okresie rozliczenia tak zwanych prominentów odnieśli ciężkie obrażenia moralne. Wielu z nich spotkała krzywda. Byłem i jestem przeciwko akcjom.

Oceny postaw moralnych robotników, urzędników, inteligentów — członków partii należy dokonywać systematycznie na podstawie sprawdzonych i rzetelnych materiałów, a jeśli ktoś łamie prawo niech odpowie przed sądem. Nie osądzajmy jednak przed wyrokiem. Pozwólimy ludziom żyć i pracować bez groźby ukamienowania na ulicy.

Kto przywróci dobre imię tak zwanym prominentom, których uniewinniono?”

ORDER

W „Prawie i Życiu” Andrzej Błachowski opisuje człowieka, który chce mieć order. Ta gołowska postać nazywa się Piotr Baranek, mieszka w Borowiu na Podlasiu i marzy o wysokim odznaczeniu państwowym. Gotów jest zapłacić za nie każdą cenę.

Piotr Baranek pełnił niegdyś służbę wojskową w Korpusie Węglowym. Píše w memoriale do władz: „Dzisiaj o nas, byłych górnikach, nikt nie pamięta, chociaż daliśmy krajowi tyle czarnego złota, fedyrowaliśmy w pracy i w niedziale. Niemilo wracać do spraw wstydlwych. A w sercu pokrzywdzonych wkrada się żal. Dlatego też wracam się z prośbą o przyznanie mi odznaczenia państwowego, mającego wpływ na wysokość renty”.

Baranek pisze nie tylko w sprawie odznaczenia. Píše o złych stosunkach międzyludzkich, o uchybieniach w gospodarowaniu mieniem w miejscowej szkole. Efekt — kontrola NIK potwierdza zarzuty, dyrektor szkoły ustępuje ze stanowiska. Baranek wdaje się z byłym dyrektorem i innymi osobami w długotrwały ciąg procesów i kontroprocesów, skarg, kontroli itp. Staje się uciążliwy dla środowiska i dla władz.

Czy Baranek dostanie order? „Ludzie postronni twierdzą, że przesadził w aspiracjach. Gdyby starał się o Złoty Krzyż Zasługi... Ale o „porcelankę”? Właśnie on?

PROWINCJONALNY CASANOVA I DE SADE

Równie literacką postacią jak Baranek ubiegający się na własną rękę o order, jest niejaki Jerzy Kulibabka. Złodziej, erotoman i sadysta o ujmującej powierzchowności i autentycznym powołaniu w łatwowiernych kobiet, na swoim brzydkim procederze „zarobił” w ciągu pięciu lat 15 milionów, głównie w złocie! Działalność w asyście dwu dziewcząt, narzeczonej i... służącej! To one pomagały mu zawierać nowe znajomości i osiągać szczególne przestępstwo-seksualne rekordy. Leszek Konarski w „Przeglądzie Tygodniowym” pisze o Kulibabce:

„Każdą dziewczynę, bez względu na to, czy ją kochał, czy też była przeznaczona wyłącznie do „dymania” i skubania, nazywał „kocmoluchem”. Interesowały go wyłącznie kocmoluhy, które miały na palcach co najmniej trzy złote pierścienie, na szyi łańcuszek i nie przekroczyły 20 lat. Gdy w ciągu roku nie zaliczył pięciuset kocmoluchoń, to rok uważał za nieudany. Twierdził uprawdźcie, że czasem zaliczył cały tysiąc. Dzisiaj potrafi wymienić około dziesięciu żeńskich imion, resztę nie pamięta. Przesłuchując go milicjantom powiedział, że łatwiej byłoby mu opisać, jak która wyglądała po rozbraniu, niż przypomnieć sobie jej imię.

„Grzałka” dzisiaj twierdzi, że nie ma do Kulibabki żadnych pretensji i dalej go kocha! Gdyby tylko zechciał, chętnie dalej byłaby u niego służącą. Również Niusia przebijająca w areszcie, na widok zdjęć Kulibabki dostaje rumieńców i zapewnia, że go dalej kocha. Jarzka, którą zostawił z dzieckiem, też gotowa jest mu wszystko przebaczyć.

UFO NAD POLSKĄ

Sezon ogórkowy trwa, toteż nie dziwne, że problematyka UFO-logiczna pojawiła się aż w dwóch tygodnikach.

W „Przeglądzie Tygodniowym” — fragmencie książki Johna Thomasa Churcha „Kontakty z UFO — inwazje z Kosmosu”. Autor, znany historyk wojskowości, w niewielkim raporcie gromadzi dotychczasową wiedzę o UFO i konkluduje: „że nadal nie wiadomo! Przypomina także m. in. wypowiedzi amerykańskich kosmonautów: Gordona Coopera i Edwina Aldrina. Ta ostatnia poparta jest materiałem filmowym.

„19 lipca 1969 roku, w dniu poprzedzającym historyczne lądowanie Apollo-2 na Księżycu, statek opuścił orbitę eliptyczną wokół tej planety. Zadaniem pilota — Edwina Aldrina — było wtedy ostateczne szczegółowe sprawdzenie działania wszystkich urządzeń i systemów statku. Następnie skierował on jedną z kamer (16 mm) na powierzchnię Księżyca, aby sfilmować ją w dużym zbliżeniu. I właśnie wtedy, w jego polu widzenia pojawiło się kilka niezidentyfikowanych latających.

Po powrocie na ziemię film został wywołany i ujrano na nim wpięty powierzchnię Księżyca, a następnie lecące w szybkim pionowym dwa nieznane obiekty. Z ogromną prędkością przesuwały się one od lewej strony do centrum obrazu, a po krótkiej chwili zmieniły kieru-

nek lotu i zniknęły. Po około dwóch sekundach kamera uchwyciła następne dwa UFO, które powoli zaczęły się zniżać. Przez moment zawisły nad powierzchnią globu, potem nagle wyrzuciły świecącą smugę spalin i znowu zaczęły się zniżać do powierzchni Księżyca. W końcu odleciały.

UFO sfilmowane kamerą Aldrina podobne były także do tych uchwycenych przez kamerę kosmonauty Conrada, w czasie lotu Gemini — 2 nad Oceanem Indyjskim.

W latach siedemdziesiątych różnego rodzaju niezidentyfikowane obiekty latające rzekomo odwiedzały naszą planetę szczególnie często. Tylko w roku 1973 nad terytorium USA widziano podobno UFO 2150 razy. W bardzo wielu przypadkach znajdowano również fizyczne dowody obecności UFO.

Tym razem — donoszą „Perspektywy” — to dziwne i wciąż nie rozpoznane zjawisko ujrzeli studenci olsztyńskiej ART, odbywający praktykę semestralną w Swinoujściu. Zdążyli także sfotografować zjawisko.

„Było to 10 czerwca, niedługo po zachodzie słońca. Ktoś z nas zauważył na niebie — opowiadają — dużą, pomarańczową „gwiazdę”. Nadleciała z horyzontu, zatrzymała się i zaczęła pulsować. Niebo było czyste, granatowe. Gwiazda to rozjaśniała się, aż razło wzrok, to znów przysłabła, stając się na moment niewidoczną. Trwało to kilka minut”.

Wydawało im się, że zjawisko było odległe ok. 10 kilometrów. Wkrótce obok pierwszego obiektu świecącego pojawił się drugi, mniejszy, który jednak szybko poczęł „rosnąć”. Wydawało się, że nadlatuje gdzieś z nieskończoności. Po krótkim czasie drugi obiekt zrównał się z pierwszym i również zaczął pulsować — dokładnie na przemian z pierwszym. Gdy pierwszy „gwiazda” przysłabła, druga osiągała maksymalną jasność. Częstotliwość pulsowania studentów ustalił na jedną sekundę. Do dwóch pulsujących kul doleciał następny obiekt trzeci, mniejszy od tamtych, zatrzymując się ponad nimi. Kula ta nie pulsowała, ale zaczęła okrągać oba pulsujące obiekty zgodnie z ruchem wskazówek zegara, raz na dwie lub trzy sekundy. Krągać pozostawała za sobą poświatę, jakby ciągnęła warkocz.

Kula w ułamku sekundy odleciała w prawo i skryła się za drzewami. Za chwilę w tym samym kierunku odleciała również jedna z kul pulsujących, a wkrótce i obiekt trzeci.

Pytanie — co to było? — pozostaje otwarte.

MALUTKI WIHAJSTER

Tygodnik „Film” publikuje w odcinkach wywiad Jerzego Górczńskiego z Woody Allenem — aktorem, pisarzem i reżyserem, mistrzem pewnego specyficznego rodzaju anglo-amerykańskiego humoru. Oto próbka alleńskiego stylu:

„Moi rodzice należą do Starego Świata. Mieszkają w Brooklynie, który jest sercem Starego Świata. To ludzie praktyczni i ustabilizowani. Wierzą w Boga i wykładają podługowe. Kiedy powiedziałem mamusi, że się rozwodzę, poszła do kuchni, wyjęła z piekarnika kurę i sama się w nim zamknęła.

Pewnego dnia zadzwoniłem do niej i dowiedziałem się, że tatę zastąpiła technika, czyli że został zwolniony z pracy. Na jego miejsce zainstalowano malutki wihajster, który robił wszystko, co tata, tylko o wiele lepiej.

Najbardziej przykre było to, że mamę i tatę popędziła zaraz kupić sobie też taki wihajster”.

ANDRZEJ KAROLCZAK

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al A Mirkiewicza 11 kod 90-438 Łódź. Telefon sekretariatu i redakcji 652 44 sekretarz redakcji 690 99 publikacja 677 70. Redakcja nie zamierza wzywać do żadnych strajków, nie zwraca się do czytelników o wyrażenie opinii. Informacja o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata za granicę wysyła się za granicę przynajmniej RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Centrala Kół Północnej Prasy i Wydawnictw 90 958 Warszawa ul. Powarska 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201345 139. Prenumerata a jest droższa od prenumeraty krajowej o 30 proc. Dla członków związków i stowarzyszeń o 100 proc. dla członków Instytutu i zakładów pracy Wydawnictwa Robotniczego Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 39762.

SPECJALNE POSIEDZENIE WOJEWÓDZKIEGO KOMITETU OBRONY

Zgodnie z zaleceniem przewodniczącego WRON gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego w całym kraju odbyły się specjalne posiedzenia wojewódzkich komitetów obrony w rozszerzonym składzie. Określiły one zadania dotyczące umocnienia porządku publicznego, zastrzeżenia walki ze spekulacją i szkodnictwem gospodarczym. WKO omawiały także takie sprawy jak usprawnienie zaopatrzenia ludności i funkcjonowania administracji.

Wojewódzki Komitet Obrony w Łodzi ocenił sytuację społeczno-gospodarczą w województwie ze szczególnym uwzględnieniem stanu porządku i bezpieczeństwa publicznego oraz walki ze spekulacją i szkodnictwem gospodarczym.

Wprawdzie w ostatnim okresie spadła liczba najcięższych przestępstw przeciw życiu, ale obserwuje się wzrost przestępczości kryminalnej skierowanej przeciw mieniu społecznemu i prywatnemu. Wielomilionowe straty powoduje przestępczość gospodarcza, zwłaszcza spekulacja, marnotrawstwo i niegospodarność.

WKO w Łodzi ocenił także gospodarkę zasobami mieszkaniowymi. Tylko w ostatnim okresie w wyniku podjętych wcześniej prac i dochodzeń w województwie blisko trzytysięcy osób cofnięto przydziały na mieszkania. Są wśród nich ci, którzy wynajmowali spółdzielcze lokale za nadmierną opłatą, jak i osoby, które wyjechały za granicę i nie powróciły mimo upływu terminu ważności paszportów. Ponad 100 dalszych tego typu spraw jest rozpatrywanych.

WKO zwrócił uwagę na potrzebę dalszego usprawniania gospodarki zasobami mieszkaniowymi, w tym także na zagospodarowanie lokali pozostałych po zlikwidowanych przedsiębiorstwach branżowych.

Jak czytamy w Komunikacie Wojewódzkiego Komitetu Obrony w Łodzi, podjęto ważne decyzje w dziedzinie umacniania stanu bezpieczeństwa i porządku publicznego, zwalczania spekulacji i nadmiernego bogactwa się.

Medzy innymi zostaną zbilansowane siły i możliwości władzy do działań antyspekulacyjnych czynników społecznych: ORMO, OC, WKKS a także robotników z dużych zakładów pracy. Wraz z Komisją do Walki ze Spekulacją, z organami Milicji Obywatelskiej czynnik społeczny włączy się aktywnie do określonych zadań.

WKO zajął się także sprawą niesłusznego zawyżania cen, zalecając Wydziałowi Handlu i Wydziałowi Przemysłu i Usług przedstawienie planów działania w powyższej kwestii już w dn. 28 sierpnia br.

Jak ustalił Wojewódzki Komitet Obrony w Łodzi, w handlu mięsem przestrzegana będzie zasada, aby 30 proc. masy towarowej stanowiła wieprzowina, a 70 proc. wołowina. Sugeruje się także kierownictwom przedsiębiorstw handlowych taką organizację sieci, aby 50 proc. spożywczej sieci i kiosków „Ruchu” pracowało w soboty.

WKO stanowczo stwierdza na zakończenie Komunikatu: W sprawach dotyczących zaopatrzenia wsi w okresie żniw w stosunku do osób winnych zaniedbań i niedociągnięć wyciągnięte zostaną wnioski kadrowe.

W posiedzeniu WKO w Łodzi uczestniczył członek WRON, płk Kazimierz Garbaciak.

PRZED NOWYM ROKIEM SZKOLNYM

1 września podejmie naukę blisko 8 milionów dzieci i młodzieży (ok. 300 tys. więcej niż w roku ubiegłym). Będą oni zdobywać wiedzę w 26 tys. szkół pod kierunkiem 450 tys. nauczycieli. Przeszło połowę uczących się stanowią dzieci uczęszczające do szkół podstawowych.

Resort oświaty przygotował dokument pt. „Główne kierunki i zadania pracy wychowawczej z młodzieżą szkolną”.

W przedłożonym Radzie Ministrów dokumencie dużo uwagi poświęca się niezaspokojonym w pełni potrzebom szkolnictwa i oświaty pozaszkolnej. Lokale, wyposażenie, pomoce dydaktyczne, warunki pracy wychowawczej to m.in. uwarunkowania, ujemnie wpływające na funkcjonowanie oświaty.

Szkolnictwo stoi także wobec poważnych potrzeb kadrowych. Zamykają się one liczbą ponad 23 tys. wakatów na stanowiskach nauczycielskich, w tym brak 15 tys. osób z wyższym wykształceniem. Dotąd zgłosiło się do pracy 6,5 tys. osób, z czego tylko połowa to absolwenci szkół wyższych.

Rada Ministrów dokonała na jednym z ostatnich posiedzeń oceny stanu przygotowań do rozpoczęcia roku szkolnego 1982/83. Prezes Rady Ministrów wystosował list do wojewodów i prezydentów miast szczebla wojewódzkiego. Zwraca w nim uwagę na potrzebę podjęcia niezbędnych działań w celu usunięcia istniejących trudności lub złagodzenia ich skutków.

Wojewodowie i prezydenci zostali zobowiązani do poinformowania prezesa RM o podjętych działaniach i ich efektach do dn. 20 września br.

STAN PARTII

W stołecznym Domu Dziennikarza odbyło się spotkanie członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR Kazimierza Barcikowskiego z publicystami prasy, radia i tv, zajmującymi się problematyką działalności ideologicznej i życia wewnątrzpartyjnego. Sekretarz KC podkreślił, że cała działalność partyną służy odrodzeniu i umocnieniu socjalizmu w Polsce, przywróceniu naszemu narodowi należnego mu miejsca w świecie, stworzeniu struktury społeczno-politycznej, zdolnych ponosić odpowiedzialność za państwo i kontynuowanie reform.

Kazimierz Barcikowski wiele miejsca poświęcił umacnianiu jedności partii, stwierdzając, że po wprowadzeniu stanu wojennego zahamowany został proces odchodzenia ludzi z partii.

Sekretarz KC powiedział również, że rozpoczęło się przyjmowanie do PZPR nowych towarzyszy, dziś partia liczy ok. 2,5 mln członków, którzy reprezentują znacznie większe niż przed dwoma laty doświadczenie polityczne.

KOBIETA NA POKŁADZIE STATKU KOSMICZNEGO

Radziecka kosmonautka Swietłana Sawicka jest następczynią sławnej Walentyny Tierieszkowej. Sawicka, 34-letnia spadochroniarka i pilotka od czwartku przebywa w przestrzeni kosmicznej na pokładzie statku „Sojuz T-7”. Oprócz niej załogę stanowią — dowódca statku Leonid Popow i Aleksander Sieriebrow — inżynier pokładowy.

W piątek „Sojuz T-7” połączył się z zespołem orbitalnym „Salut 7 — Sojuz T-5” z Walentynem Liebi-dawem i Anatolijem Bieriezwajem na pokładzie.

Pierwsza kosmonautka świata, Walentyna Tierieszkowa, spędziła na pokładzie statku kosmicznego, w locie kosmicznym 70 godzin i 50 minut (w r. 1963).

Redakcja zespół Ryszard Binkowski, Dariusz Doruchowski, Eugeniusz Iwanicki (z c. sekretarza redakcji) Teresa Jędrzejowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Beata Madaj, Andrzej Makowski, Grażyna Ochońnicowa (redaktor techniczny), Jerzy Panasek, Andrzej Rębski (redaktor naczelny), Igor Sikorski (kier. działu literackiego), Karol J. Stryski, Janusz Szymański (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Miron Zdzienicka (komputer).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzisław Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

W poniedziałek 9 sierpnia zaginął wiceprezes, co jak na stan wojenny było wydarzeniem niezwykłym. Prezes Suszek zachodził w głowę, co też mogło się stać, lecz kapitan Janusz Świątkowski po prostu ominiął problem i przystąpił do akcji przeświadczenia Rzgowa oraz gminy. Terenowa Grupa Operacyjna, której szefem był major Tadeusz Szpot, do niedawna komisarz gminy, poczęła przeorywać moździeż ciężki grunt na terenie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Czyniła to skutecznie przez prawie trzy dni, ale już pierwszego trud okazał się wielce owocny. Członek grupy operacyjnej, pan Jan Beręgenda z PIH, referował nazajutrz przed naczelnikiem gminy Rzgów, ob. Zajdą, co następuje:

— Handel pracuje w zasadzie od 6.00, ale często dopiero od 8.00. Chleb czasem dociera do sklepów o 10.00. Generalnie w sklepach wiejskich nie ma chleba, mleka, podrobów, konserw i wędlin...

Naczelnik przerywa, wyjaśniając, że jak na złość okradziono jeszcze sklep w Gadce. W nocy...

— Ano właśnie! — ciągnie Beręgenda, — Tymczasem nigdzie nie ma musztardy, serów żółtych, soli, napojów chłodzących, a płatki zbożowe były tylko w jednym sklepie. Prezes Suszek mówi, że w gminie drożdżami w ogóle się nie handluje. No i drożdży faktycznie nie ma. Ponadto miano wycofać wędliny z gastronomii do sklepów, a tu pustki. Owszem, byłyby podroby, ale dwie prywatne masarnie w Gadce i Gospodarzu sprzedają swoje wyroby na zewnątrz...

— Dlaczego? — pyta kpt. Świątkowski. — Przecież te masarnie biorą pulę mięsa przypadającą na gminę!

Ano biorą, ale prywatnie zerwali umowę na dostawę do GS, bo ta nie przyjmuje ich wyrobów. Ceny nie pasują obu stronom, GS nie ma czym wozić tych podrobów. A przecież można to załatwić, wynająć samochód z Woj. Spółdz. Transp. Wiejskiego. Szczerze mówiąc, to prywatni masarze mają obowiązek dostarczać wyroby własnym transportem.

— Tak? — dziwi się kpt. Świątkowski. — To co to za sprawa? Biorą pulę mięsa przeznaczoną dla gminy, więc ono musi tu zostać! A jak się nie dogadają z winy prywatnych rzemieślników, jeśli ci nie zechcą dostarczać swoich wyrobów, to odebrać im koncesję!

— Chodzi o to — kończy inspektor Beręgenda — że gdyby sprawę dograno, wystarczyłby kupić 30 witrów chłodniczych i na wsiach bezdziej kaszanka, pasztetowa, sałceson. Masarnia geosowska jest tuż po remoncie, nowy kiełbasnik garnie się do roboty, widać ład i porządek, ale widać też 15 kg osłizłego mięsa, które należało wyprodukować w solance, uratować. Tak, robią własną kiełbasę, ale ta się „rozlaży”, jakość wątpliwa...

No i dalszy ciąg z tymi sklepami. Przemysłowy, z narzędziami rolniczymi, zamknięty z „powodu choroby”, papierniczy również, a spożywczy nr 1 brudny i marnie zaopatrzony. Prawie tydzień temu była kontrola handlu i do dziś nie ma wniosków kontrolnych, ba, nie ma nawet protokołu. Inspektor d/s handlu Urzędu Gminy codziennie kontroluje, monitoruje, upomina na piśmie i ani drgnie w tym handlu. Naczelnik, człowiek w Rzgowie nowy, młody, energiczny, twierdzi że w tym problemie można się załamać. A tu jeszcze chcą założyć rożen w parku i nie wiadomo, czy zezwoli z piwem. Bo bez piwa agent nie wyjdzie na swoje. Poza tym inny agent uciekł z punktu usługowego, ślusarsko-kowalskiego, co w żniwa jest wielkim nieszczęściem. Warsztat zamknięty, kierownik, który ma mu pomóc, na urlopie, podpisał Prezes GS, Suszek. Naczelnik mówi, że prezes, cholera jasna, powinien uzgodnić to z nim. A jeden z oficerów, chyba Świątkowski, stwierdza, że z tych trzech „S” to jedno funkcjonuje na pewno: samowola...

I zaraz włącza się do tego dialogu starszy lustrator CZSR „Samopomoc Chłopska”. Zdzisław Szafranski. Ten wali bez ogródek, w ogóle człowiek bez serca. Dla tych urzędników, co mają służyć pomocą rolnikom A specjalnie oko ma wyczulone na różne urzędnictwa.

— Panie prezesie Suszek — mówi z bezwzględnością — pan jest człowiekiem gołębiego serca. Pan tu nie powinien pracować, lecz rządzić, kierować, a tymczasem panem rządzi młodzi wiceprezesi, którzy nie palą się do roboty. Tylko że pan może się przez nich spalić, bo ten cały GS siedzi na minie.

— To są młodzi ludzie, dotrą się i wszystko się zmieni — oponuje Suszek — Rozpuścili się może trochę za dawnych czasów, ale ja ich wychowam, pomogę.

— Jak wiceprezes pracuje osiem lat na stanowisku, to już nie jest taki młody! Kursy ostatnio jeden kończył, i po co? Twierdzi, że były już w GS „maneuwry” i nikt nie wykrył nic złego. On się nie zna na urzędniactwie, niech mu kontrola powie, co zrobić z tym bezpieczeństwem przeciwpożarowym i higieną pracy. Dobrze, co?

— No, ale o co chodzi?

— O to, że na ścianach wiszą pozrywane przewody. Człowiek dotknie i go trąsnie. Zrobi się spieczę i wszystkie gruchnie. W piekarni są maszyny, hydrofornia, a 26 korków licowanych. Przy paleniskach leżą papiery, śmieci, dykta. Jedna sprawa w porządku znakomitym, silnym środkiem trującym wybito wszystkie muchy. Tylko że te zdechłe owady leżą w syropie ziemniaczanym, który wlewa się do ciasta...

Pojawia się wreszcie nieszczyśny wiceprezes od handlu Marian Salski.

— Drożdży nie ma? — odpowiada pytaniem na pytanie. — Drożdże są potrzebne na święta. Teraz robię zamówienie do Niechcie, ale przysyła tylko na piekarnię. Czasem dostawa do nas nie dociera, tylko do Łodzi. A sklep nr 1 trochę brudny dlatego, że zaraz będzie remontowany.

— Jest ponad osiem tysięcy mieszkańców. Na ile starczy im 1700 butelek napojów chłodzących? — pyta Beręgenda

— Są kłopoty z transportem, mamy tylko dwa samochody. Nie ma dostaw wody z Łodzi i z Konstanczowa. A w prywatnej wytwórni zabrakło dwutlenku węgla. Kiedyś wyśtałem samochód po smalec i nie przywiózł...

— Wrócił pusty?

— Ja tego nie powiedziałem. Przywiózł arbuzy i sól do piekarni.

No dobra. Prezes Suszek wręcza prezesowi rady nadzorczej GS, Feliksowi Smiechowiczowi, pismo z WZSR. Robi się duszno, więc Smiechowicz ściga marynarkę i czyta, że liczne kontrole wykazały, iż w sklepach wiejskich nie ma soli, musztardy octu, kaszy itp., panuje brud i bałagan, i czy w tej sytuacji nie należało się zastanowić nad przydatnością wiceprezesów w GS.

— Nie do wiary! — mówi Smiechowicz — przecież to mój były uczeń! O, ten również wskazuje na mnie — akademie ze mną urządził, a potem...

Milknie strapiiony i pewnie myśli: „A potem poszedł na wódkę, na pisanie książek i pisanie wrednych paszkwili o Rzgowie”.

Niby tak, tylko nie o Rzgowie, lecz o urzędnikach, co mają ułatwiać życie mieszkańcom. I pan Smiechowicz, także szef w radzie nadzorczej SKR, przypomina sobie pewnie, jak to rok temu przy ustalaniu cen na usługi rolnicze powiedział: „Co my będziemy pytać chłopków, sami ustalimy te ceny”. I rolnicy demonstracyjnie wyszli z sali. Mając to w pamięci,

trudności natury organizacyjnej, więc kapitan tłumaczy mu cierpliwie, że cały sztab ludzi nie może siedzieć i drzemać od 13.00 do 15.00. Jednego człowieka dać do robienia dokumentacji. Jednemu urzędnikowi dolożyć roboty, drugiemu odjąć i będzie grać.

Mjr Szpot pyta jeszcze:

— Macie tu jakiś magazyn interwencyjny?

— Tak, ale magazynierka na urlopie.

— I klucz ma w domu?

— No tak.

Ludzie — denerwuje się major — czy ja Wam nie mówiłem o starej wojskowej metodzie? Jeden klucz u magazyniera, a dwa zaplombowane u prezesa! Wtedy zawsze można komisyjnie otworzyć, nie? A tak co, jak się zacznie palić? Po co ta gaśnica w środku, jak nie ma klucza?

Gdy podjechalibyśmy do banku, spadł pierwszy od wielu tygodni, kilkuminutowy rzęsy deszcz. Major przedstawił sprawę tej nieszczęsnej godziny. Tak jest, punkt kasowy może być czynny do 14.00. Rolnicy mogą dłużej sprzedawać i kupować. W tym gorącym okre-

Prześwietlenie Rzgowa

RYSZARD BINKOWSKI

pan Smiechowicz, zasłużony nauczyciel i działacz, mówi z westchnieniem:

— Zawładłem się. No, jak Salski nieprzydatny, to ja zwolnię radę i my tę sprawę załatwimy.

A oficerowie słuchają cierpliwie, z uwagą, konfrontują to wszystko z własnymi spostrzeżeniami. Bo nie są tutaj od straszenia, krzyku i komenderowania. Mają pouczyć, wyjaśnić, wykazać błędy i pomóc w ich naprawie. No i wyciągnąć właściwe wnioski. Po pierwsze: chleb piecze się po południu i trafia on do sklepów nazajutrz. Jeśli więc część chleba zawiezie się do sklepów o 16.00, to będzie zaraz po otwarciu sklepu, jasne?

Po drugie: należy dać całonocniowi dostawę mleka do sklepów oraz nawiązać kontakt z wiceprezydentem Łapińskim w celu uzupełnienia zaległych dostaw konserw.

Po trzecie: wyciągnąć wnioski administracyjne w stosunku do winnych zaniedbań.

Zanim wyszliśmy z GS, zjawia się komisja, aby zbadać usterki w piekarni i sporządzić raport do kolegium.

Wcześniej kpt. Świątkowski zauważył, że w GS jest niezłe zaopatrzenie w nawozy, węgiel, pasze, jest nawet papa w sprzedaży wolnorynkowej. Skup też przebiega nieźle. Są tacy, co skupują świnię na rynku i sprzedają w GS. Jest to specyficzny rodzaj spekulacji. Warto się nad tym zastanowić, ostatecznie te świnię trafiają do państwa.

— Poza tym — ciągnie kapitan — jest taka sprawa. Chłop stał od siódmej rano i nie dostał węgla, bo magazynier skończył robotę. Ale jak chłop da zatrudnionemu tu wozakowi 500 zł, to on mu ten węgiel załatwi. Chodzi o to, że zapraszacie rolników apelem, by zwozili zboże, ale gdy przywiozą po 13.00, to po pieniądze muszą jechać do banku w rynek, gdyż punkt kasowy GS już nieczynny. No i sprzedają też nie ma, magazynier siedzi na rampie bez roboty. Jeśli jest luz, to sprzedawać dłużej, panie prezesie. A punkt kasowy niech pracuje do 14.00.

Prezes Suszek ma wątpliwości, wskazuje na

sie bank jest czynny do 18.00, dyżuruje także w wolne soboty.

Była to najbardziej sympatyczna, kulturalna rozmowa podczas całej akcji. I nie tylko dlatego, że szefem banku jest przystojna blondynka, a oficerowie szarmanccy. Po prostu jak się chce, to wszystko można załatwić.

Następnie terenowa grupa operacyjna miała „prześwietlić” 9 punktów świadczących usługi dla rolników w żniwa, ale właściwie nie było co. To, że zamknięty jest zakład fryzjerski, kwiaciarnia, magiel, to jeszcze nic. Ale zamknięty był także zakład szklarski, ślusarsko-kowalski, elektryczny. W samym Rzgowie pracował jedynie usmolony po uszy Wojtek Kacperski w zakładzie wulkanizacyjnym. I nie narzekał na brak roboty, bo w kryzysie detki nie uswiadczysz, a u Wojtka naprawa kosztuje 35 zł. No cóż, inni widzą za dużo zarabiają i wolą urlopować. Z wyjątkiem młyn w Gospodarzu, który też był na chodzie.

Dyr. Spółdzielni Kółek Rolniczych, pan Paprocki, najpierw pokazał świeżo lakierowanego swego malucha w kolorze „blue” Władowo, jak i pan, taki kram, pracownicy muszą dbać o wóz szefa. Baza SKR w Rzgowie nie przedstawia widoku godnego pożalowania, jaki czasem serwuje nam telewizja. Ale oficerowie są strasznie wyczuleni na ład i porządek, ich oku nie ujdzie najdrobniejsza usterka. Np. piękna wiatła jest za wysoka, jak deszcz zaśnie, zmoczy maszyny. Pod wiatłą znajdują zdekompletowaną niemiecką prasę, gdyż części poszły do innej. Są przycepy bez kół (1 z braku ogumienia, z drugiej koło wzięto do innej przycepy). Stoi także nieużywana dotąd maszyna do siewu kukurydzy, bo tej w gminie prawie nikt nie siewa.

Kpt. Świątkowski patrzy po ciągnikach, po czym stwierdza, że są to typowe „magazynier części”. I rzeczywiście, z niektórych wymontowano części, inne mogą być używane, ale ruszają na popych, ponieważ brak baterii. Potem nie wiadomo jakim cudem Świątkowski znajduje porzucone w śmieciach dokumenty ciągnika, którego nie ma na placu.

— A ta kostarka kiedy cięła trawę? — pyta.

— Wczoraj.

— To czemu taka brudna?

Paprocki łapie się za głowę.

— Panowie, siły ludzkie też są ograniczone! Złych traktorzystów pozwaliałem. Teraz jest z okolicy. Nie dość, że pracują od świtu do nocy, to jeszcze mają do obrobienia własne gospodarstwo.

— Ja też mam własne gospodarstwo domowe, a jestem tutaj. Ale nie o to chodzi. Myślę, że korzystnie byłoby zatrudnić konserwatora maszyn.

— To już załatwione — odpowiada dyr. techniczny, Mielczarek. — Będzie u nas pracował.

— A ile kombajnów u was pracuje? — pyta mjr Szpot.

— Dziewięć. W Rzgowie oraz w filiach w Kalinie, Starowej Górze, Czyżeminku. Bez większych awarii przepracowały dotąd 820 godz. Ludzie pracują najmniej 13 godzin na dobie.

— Jeździcie po kolei, z pola na pole?

— Jasne!

— A chłopci mówią, że kombajny latały co trochę ze wsi do wsi i był straszny przepał. Nie szkoda paliwa? — dąży mjr Szpot.

— To wynikało z zarządzenia, że najpierw mamy skosić żyto. I teraz wracamy na te same pola. A było tak, że obok żyta równocześnie dojrzewały jęczmień, pszenica...

— Panie Paprocki — włącza się kapitan — kwintal paszy tucznicowej kosztuje 1500 zł. Prawie tyle samo dostanie pan za zboże. Czemu więc nie odstawia pan swojego zboża, dając przykład chłopom?

— Możecie mnie zdjąć, a ja nie odstawię nic, dopóki nie zbiorę wszystkiego i nie wyliczę, czy starczy mi na paszę.

Nie należy się dziwić, że Paprocki myśli po chłopsku. Ma w Kalinie tuczarnię, ponad sto świń. Już było tak, że jeździł po całej Polsce za paszą. A jak teraz też nie dostanie, to co? Musi mieć własną. Poza tym za 100 kg sprzedanego zboża może otrzymać 60 kg paszy.

Znowu lunął kilkuminutowy deszcz. Kombajny muszą stać, czekać, aż obeschnie.

— Cholera! — klnie Paprocki. — Jeszcze trzy dni słonecznej pogody i byłoby po żniwach!

Obeszliśmy kilka pomieszczeń z urządzeniami, częściami, biurkami. Mjr Szpot zaczyna się tak jakos dziwnie uśmiechać i mówi: — Najbardziej podobała mi się szklana popielniczka. Taka była niepokojenie czysta...

Ale plac przed warsztatem i sam warsztat naprawdę są czystutkie, wymiecione. W warsztacie stoi świeżo malowany, kolorowy jak z bajki ciągnik. Nawet gumowe przewody ma lakierowane, i tylne zawieszenie także. Teraz zaczyna się uśmiechać kpt. Świątkowski.

— To nie jest sprzęt cyrkowy, tylko polowy.

Bierze klucz i zaczyna zeskrobywać lakier z zawieszania. Leci całymi skorupami. Bo lakierownik pojechał pistoletem po zeszłym blo-

Lustrator Szafranski dowiaduje się od dyr. Mielczarka, że SKR ma 64 ciągniki, z tego 14 nieczynnych, a 20 pracuje. Z tego wniosek, że 30 ciągników stoi po kątach. I że można z nich brać części do maszyn uszkodzonych. Ale szczerze mówiąc, to SKR musi mieć przecież jakieś rezerwy w ciągnikach.

Mjr Szpot pyta o jedzenie dla traktorzystów. Puszka pasztetu i woda sodowa. Ludzie, znaczy rolnicy, niezbyt gościnni, nie poczęstują obiadem. Znieczulica?

— Skądże! — wykrzykuje Beręgenda z PIH. — Gdzie chłop ma kupić coś do jedzenia, jak sklepy puste?

Major przystępuje do podsumowania.

— Załatwimy Wam większy przydział smaru, ale akumulatory sami musicie sobie załatwić, bo one czekają na was w „Agromie”. Maszyny na chodzie muszą być sprawne technicznie. Ciągniki naprawić, i to szybko. Poza tym wyciągnijcie wnioski, ostre, w sprawie tych porzuconych dokumentów. A dalej. Ten Wasz magazynier ciągle się żeni i nie robił przejrzystego wykazu części zamiennych. Te części trzeba konserwować, panienka z lakierowanymi paznokciami tego nie robi. No i kontrolować to malowanie ciągników...

Na koniec jedziemy do filii SKR w Czyżeminku. Typowa baza pod chmurką, bez zaplecza, z większością starych, zużytych maszyn, toteż dyr. Paprocki od kilku lat powtarza, że ją zlikwidują. Tylko nie wiadomo, jak przynajmniej do chłopi z Czyżeminka, Gospodarza, Prawdy, Guzowa, Babich Rydynek Baza jest niezbędna, bo chłopi nie mają jeszcze pod dostatkiem własnego sprzętu.

Kierownik bazy, pan Mundeck, pokazuje wiązałkę. Rok temu stare części założono do nowej ramy. Rozspala się. A teraz nawalił aparat wiążący w kolejnej wiązałce z 1971 r., i takich części już nie ma.

— Oczyścić, zakonserwować i sprzedać chłopom — zarządza kapitan.

Major grzebie butem w rozsypnym, słu- czonym ziarnie. Kombajnista musiał wyczyścić maszynę z tych resztek.

— Na to wpuścić kury z Czyżeminka. Albo podkładać plandek i zbierać do worka. I niech pan, kierowniku, zajmie się traktorystami od tych dwóch przycep, co zarosły rumiankiem. Za trzy dni ma być porządek...

Ale jak tu karać traktorzystów co tyrają od świtu do nocy, a konserwatora brak? Kierownik ma rękę w szwach. Była awaria, pojechał do Rzgowa po części, przejechał dłoń ko- sę. Ma 12 dni zwolnienia, lecz pracuje 12 godzin na dobie.

W Wojewódzkim Sztabie Wojskowym płk M. Włodarczyk powiedział mi, że wielu ludzi obsługujących rolnictwo służyło w wojsku, ale potem wtopiło się w otoczenie i teraz trzeba im przypomnieć to, co zapomnieli. Jak widać, od reguły są wyjątki. Dla mnie osobliwie wyjątkiem jest sekretarka naczelnika ze Rzgowa, która wprawdzie nie służyła w armii, ale przeżyła dwóch naczelników i wciąż jest młoda, na tym samym stanowisku, sympatyczna, uśmiechnięta i lubiana przez petenów. Szko- da tylko, że w krzywym odbiciu te wspaniałe, długie, czarne włosy. Ale od czego rekompensaty? Nowy pan naczelnik ma brode...



Czy w jakichkolwiek wyborach można z pełnym poczuciem odpowiedzialności i przekonaniem o słuszności własnego zdania wybrać na określone stanowisko lub do pełnienia funkcji osobę, o której wiadomo jedynie, gdzie pracuje? Jest to możliwe chyba jedynie w przypadku osób publicznych, prezentujących swoje poglądy i zamierzenia m.in. za pośrednictwem środków masowego przekazu bądź na masowych spotkaniach. W zakładzie pracy takich ludzi przeważnie nie ma. Aby więc nie stawiać pracowników w sytuacji, gdy będą zmuszeni głosować na Kowalskiego, o którym wiadomo tylko, że także pracuje w Fabryce Osprzętu Samochodowego „Polmo” w Łodzi, tworząc samorząd, podzielono zakład na małe, liczące około 50 osób, okręgi wyborcze. Każda pięćdziesiątka wybierała swojego przedstawiciela. W ten sposób ukształtowała się 50 osobowa Rada Pracownicza. Rozpoczęła działalność jeszcze przed ogłoszeniem ustawy o samorządach pracowniczych, w czasie gdy sytuacja w „Polmo”, podobnie zresztą jak we wszystkich zakładach w kraju, była trudna i napięta. Obok organizacji partyjnej i młodzieżowej działały tu dwa zw. zawodowe: branżowy metalowców i „Solidarność”. Interesy i cele poszczególnych organizacji zapewne nie zawsze były zgodne, ale Radę Pracowniczą wybierano nie po to, aby stała się jeszcze jednym uczestnikiem dyskusji na różne tematy, bądź też, w razie konfliktu, pomagała zwyciężyć którejś ze stron, lecz aby reprezentowała interesy całej załogi. W jej skład weszli przedstawiciele wszystkich organizacji, nie stała się jednak odbiciem układu sił w zakładzie. Dla przykładu — 25 proc. członków rady stanowili członkowie partii, podczas gdy na 2350 pracowników do PZPR należy 370 osób. Tak więc nie przynależność organizacyjna decydowała o tym, kto został wybrany, lecz dobra znajomość kandydatów, ich rzetelna ocena zarówno od strony zawodowej, jak i moralnej.

Staranne przygotowanie wyborów przyniosło dobre efekty: dotychczas nikt z członków Rady Pracowniczej nie zrezygnował z tej funkcji, nie ma wśród załogi głosów, domagających się nowych wyborów z chwilą reaktywowania działalności samorządu. Zaufanie, jakim cieszyli się członkowie Rady pomogło także w pierwszym etapie pracy, umożliwiło nawet realizację uchwał, które nie mogły liczyć na łatwą akceptację, jak choćby wprowadzenie zmiany w okresie trudności energetycznych. „Praca w nocy jest bardzo niepopularna wśród robotników — mówi Wiesław Lesiak, członek prezydium zawieszzonego samorządu. Zadecydowaliśmy więc niejako wbrew załodze. Przekonywanie ludzi, że taka konieczność istnieje, a okres zwiększonego wysiłku już wkrótce opłaci się wszystkim trwało co najmniej tydzień. Udało się jednak i przez jesienno-zimowy szczyt energetyczny przesłaliśmy gładko, bez przerw spowodowanych wyłączeniami...”. Nie była to jedyna uchwała, jaką podjęła Rada Pracownicza. Zadecydowano o pewnych zmianach w strukturze organizacyjnej przedsiębiorstwa, likwidując m.in. stanowisko zastępcy dyrektora do spraw inwestycji, powołano stałą komisję do kontaktów z tymczasową radą powstającą wówczas dobrowolnego zrzeszenia. Powstała także komisja, której zadaniem była analiza i ocena szczegółowego schematu organizacyjnego zakładu i zaproponowanie koniecznych zmian.

Jak zawsze w początkach działalności nie brakło także spraw organizacyjnych: przygotowywano program działania na najbliższe miesiące, ostateczną, stałą wersję statutu, uwzględniającą wszystkie elementy nowej ustawy, regulaminy itp. Ostatnie posiedzenie Rady Pracowniczej odbyło się na początku grudnia. Na wniosek dyrekcji zakładu omawiano na nim sprawy związane z regulacją płac. Uchwalono, że najniższa pensja nie może wynosić mniej niż 4 tys. zł. Była to płała — od początku działalności — uchwała. Jak cztery poprzednie i ta została zrealizowana. Dalsze prace przerwało ogłoszenie stanu wojennego i zawieszenie działalności samorządów. W zakładzie powstała komisja socjalna, która zajęła się wieloma codziennymi sprawami robotników, przejęła niektóre funkcje zawieszonych związków zawodowych. Nie zastąpiła jednak, bo i nie mogła, Rady Pracowniczej. Wkrótce okazało się, że właśnie tej ostatniej zaczyna w zakładzie brakować. W warunkach wdrażania reformy gospodarczej wyniknęło wiele problemów i spraw, o których powinien zdecydować, a chociażby wydać opinie organ przedstawicielski załogi. W fabryce panował spokój, nie próbowano łamać przepisów stanu wojennego. Istniały więc także i warunki do wznowienia działalności rady. Już w marcu dyrektor „Polmo” wystąpił do minister-

Przed drugim startem



stwa z pismem o reaktywowanie samorządu. Pozytywnie wyopowiedziała się w tej sprawie także egzekutywa KZ PZPR. Potwierdziła istnienie warunków, sprzyjających wznowieniu działalności samorządu Komitetu Dzielnicowego PZPR. Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy — a decyzja ciągle nie zapadła. Czeka ją ludzie, czeka dyrekcja, czekają członkowie ciągle zawieszony Rady Pracowniczej. Sytuacja zaczyna być denerwująca, zwłaszcza od chwili, gdy telewizja i prasa przynoszą ciągle nowe informacje o kolejnych samorządach, które już wznowiły działalność. Ludzie niecierpliwią się tym bardziej, że roboty jest rzeczywiście sporo, a rozpocząć ją można od zaraz, bez konieczności powtarzania okresu rozruchowego. Samorząd bowiem był zawieszony, ale jego członkowie nie wyłączyli się z życia zakładu, nie „przespali” kilkunastu tygodni. Od początku dobrze układała się współpraca z dyrekcją. Układ ten zaowocował także w stanie wojennym. Członkowie samorządu — pracujący na różnych stanowiskach w zakładzie — byli informowani o poczynaniach kierownictwa, mieli możliwość przedstawienia swoich opinii. Oczywiście nie odbywały się w tym okresie posiedzenia, samorząd nie podejmował własnych decyzji, ani też nie próbował ingerować w decyzje dyrektora. Stały i dobry kontakt sprawił jednak, że ludzie nie poczuli się odsunięci poza nawias zakładowego życia i — z chwilą gdy zapadnie decyzja — będą mogli podjąć działalność tak, jakby przerwali ją kilka dni temu.

Ostatnio odbyło się zresztą nieoficjalne posiedzenie prezydium samorządu. Bezpośrednim powodem jego zwołania była konieczność omówienia sposobów podziału zysku. Plan I półrocza został w „Polmo” zrealizowany we wszystkich wskaźnikach. Po odprawieniu części zysku do budżetu, zapłaceniu podatków itp. w zakładzie pozostało 17 mln. Na co przeznaczyć te pieniądze, jak podzielić je wśród ludzi, aby wszyscy uznali słuszność i celowość takiego właśnie podziału? Nad propozycjami dyrekcji dyskutowało nieoficjalnie prezydium samorządu. Ustalono, że po pół mln. zł przeznaczy się na regulację płac, wynikającą z przesunięcia robotników do wyższych grup: dziesiątej i jedenastej, a także na regulację niektórych, zanizających zarobki norm. Pozostała suma zwiększy m.in. pulę premii, przy czym przewiduje się zmianę zasad premiowania, przede wszystkim zastąpienie premii regulaminowej — uznaniową. Niedawno ogłoszono w zakładzie nowy, ramowy regulamin premiowania. Trwa opracowywanie regulaminów szczegółowych dla poszczególnych wydziałów. Nowe zasady wejdą w życie jesienią br. Na razie prezydium samorządu wyraziło jedynie opinię na ten temat — już niedługo jednak, po oficjalnym reaktywowaniu Rady Pracowniczej, może ona przekształcić się w uchwałę, pierwszą w nowym etapie działalności.

Kolejne sprawy, jakimi ma zamiar zająć się samorząd, wynikają z opracowanego przed zawieszeniem programu działania. Jeden z jego punktów — decyzja o przystąpieniu do zrzeszenia — został skreślony, bowiem zakład znalazł się w zrzeszeniu obligatoryjnym, pozostałe jednak nie straciły swej aktualności. Nie sposób wymienić wszystkich — program bowiem był obszerny. Z pewnością jednak do najważniejszych zadań należeć będzie ocena struktury organizacyjnej zakładu i jej korekta pod kątem aktualnych, wynikających z reformy potrzeb, analiza struktury zatrudnienia, wiele spraw związanych z nowym systemem płacowym, a także program zagospodarowania inwestycji. Na osiedlu Kurczaki powstaje bowiem nowy zakład, gdzie wytwarzać się będzie sprężarki do traktorów Ferguson. Powierzchnia produkcyjna jest jednak większa — i trzeba ją wykorzystać jak najlepiej. Jest już kilka różnych propozycji nowej produkcji, wymagają one jednak dokładnego rozważenia. Ze względu na wagę decyzji, jej przyszłe, długoterminowe konsekwencje, będzie to jeden z poważniejszych problemów, jakimi zajmie się Rada Pracownicza.

Pracy czeka sporo i wszyscy zgadzają się, że trzeba i można zacząć jak najprędzej. Spełnione zostały wszystkie warunki, aby drugi start w samorządność był udany. W dniu mojej wizyty oczekiwano w zakładzie przedstawicieli ministerstwa. Nie było jednak wiadomo, czy przywiezie już decyzję o reaktywowaniu samorządu, czy też będzie raz jeszcze omawiał tę sprawę. Ludzie niecierpliwi się coraz bardziej.

TERESA JERZYKOWSKA

Krew sprzedam

Litr krwi kosztuje dzisiaj 3.150 zł, jeszcze do niedawna kosztował 2.150 zł. W roku można oddać krew cztery razy po czterysta osiemdziesiąt mililitrów. Kobiety nieco mniej, albowiem trzy razy w roku i tylko po czterysta mililitrów jednorazowo.

Z prostego wycieszenia wynika, że w roku można zarobić maksimum sześć tysięcy.

— Żaden biznes — mówią płatni krwiodawcy. Również dyrektor Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa — Anna Samujłło uważa, że krew jest stosunkowo tania. Kiedyś, jak litr kosztował 4.000 zł, była to równowartość przynajmniej jednej sporej pensji. Dzisiaj zarobki przeciętnego robotnika znacznie wzrosły, podrożały wszystkie artykuły. Cena krwi nie jest proporcjonalna do rzeczywistości. Dlatego coraz mniej chętnych. Płatnych krwiodawców w Łodzi ubywa. W ubiegłym roku tylko jedna trzecia dawców robiła to za pieniądze. Pozostali honorowo.

Na pytanie reportera, czy to źle, że nie ma chętnych, pani dyrektor odpowiada twierdząco. — W Łodzi jest bardzo dużo klinik, jest więc na pewno znaczne zapotrzebowanie. Bardzo często potrzebna jest krew tzw. testowana. Pobór takiej krwi jest problemem dla krwiodawców, wstrzykuje się im niejako sztucznie obce organizmy, czasami bywają przykre objawy.

Honorowi takiej specjalnie testowanej krwi nie chcą oddawać, no, bo niby dlaczego mają być „fabryką”. Pozwolił eksperymentować na żywym organizmie.

To jest „specjalność” płatnych, taka krew jest o wiele

droższa.

Inne możliwości uzyskania krwi nie ma. Trzeba więc płacić i wymagać zarazem.

Płatni krwiodawcy muszą być do dyspozycji Stacji, przybywać na każde wezwanie. To oni zabezpieczają natychmiastowe potrzeby. Zdarza się przecież jakiś wypadek, jakaś pilna operacja. Wtedy są „ściągani”. Przy pierwszym poborze deklarują się, że będą do dyspozycji. Jeżeli się nie wywiążą? Nie, praktycznie nie ma żadnych sankcji, to taka jak gdyby niepisana umowa między Stacją Krwiodawstwa a klientem. Niby taka lojalność.

Nie prowadzi się rejestru dawców płatnych odnośnie środowisk, z jakich pochodzą. Wiadomo jednak, że najczęściej są to robotnicy, ostatnio sporo studentów, chcą zapewne uzupełnić skromny budżet zakładowy.

Oprócz pieniędzy otrzymuje się talon na wyżywienie. Płatni za 450 zł, honorowi za 912 zł do zrealizowania w stacyjnej stołówce. Poza tym darmowe śniadanie — bułka z dżemem i herbata, a już po oddaniu krwi dwie bułki z polewą, czekolada i kawa do wypicia na miejscu. Czasami jakieś sok, jak są oczywiście.

Podobno zdecydowanie jest więcej chętnych mężczyzn, kobiety raczej sporadycznie.

Dlatego decydują się oddawać krew za pieniądze? Pani dyrektor wzrusza ramionami: — Część ludzi oddaje tylko dlatego, żeby mieć wolne. Obowiązuje jeden dzień wolny od pracy.

— Płatni dawcy są niejako dyskryminowani. U lekarza czekają normalnie w kolejce, tak samo w aptece. Nawet

w bonach żywnościowych jest znaczna dysproporcja. Narzekają, mimo, że wychodzą z dodatkowymi pieniędzmi.

Każdy zainteresowany oddaniem krwi musi przejść specjalistyczne badania. Nie można chorować na żółtaczkę, żadną chorobę weneryczną. Sprawdzanie jest skrupulatne. Potencjalny dawca może przeciwie przy wstępnym wywiadzie oszukiwać. Pewne informacje sprawdza się w kartotekach Sanepidu.

Zdemontowano plotkę, że jeżeli ktoś odda choć raz krew, wtedy będzie musiał robić to zawsze. Nie ma, podobno, żadnego uzależnienia. Jeżeli nawet ktoś oddawał potrzebę oddania, to sporadycznie, jest to raczej sugestia. Nie ma żadnej reguły. Jednak niezaprzeczalny jest fakt, że dawcom krew przybywa szybko.

Jest więc okazja, i bez myślenia sobie ocu — to nie żadna sugestia, a dodatkowy pieniądz w kieszeni wzmacnia potrzebę oddania. Tak przynajmniej ja sądzę.

W STACYJNEJ PALARNI

siedzi czterech mężczyzn. Siadam obok na ławce. Patrzę na mojego sąsiada, który dopiero co „oddal”. Jednym palcem podtrzymuje wate na przegubie ręki. Odrzywa, patrzy czy jeszcze „leci”. Wyrzuca czerwony strzępek do popielniczki.

— Ile? — pyta drugi sąsiad. — Całe czterysta osiemdziesiąt, do oporu, stary — mówi z dumą.

— Ee...! Zaimponował swojemu kole- dzie, on oddał tylko trzysta

pięćdziesiąt. Następnym razem będzie więcej — też do oporu. Leciutka strużka krwi spływa na solidny tatuaż.

Trącam tego z lewej, sąsiada znaczy.

— Pani, co pan zrobisz z tą forszą?

— Co to pana obchodzi, pilnuj pan swojej. — A... niby o nas, krwiodawców będzie napisane? To napisz pan na wstępie, że cena tej krwi za niska jest dzisiaj.

— Litr krwi powinien kosztować przynajmniej dziesięć tysięcy. My im tu wielką łaskę robimy za takie marne pieniądze. To trzeba gdzieś poruszyć.

Dodaje drugi: — Za te parę groszy, co tutaj dostajemy — to od razu jesteśmy najgorzej — gorzej bony obiadowe, żadnych ulg w aptece i u lekarza, normalnie w kolejce trzeba stać. Ze niby nasza krew za pieniądze gorzej? Taki honorowy to raz przyjdzie, drugi i później się już nie pokaże. A krew potrzebna.

— Niektórzy tu muszą być na każde wezwanie, oni oddają krew do jakichś specjalnych celów. Po jednego mojego znajomego to czasami karetka w nocy przyjeżdża. A tak to gorsze.

— Podobno przychodzą studenci? — pytam.

— Ze studentami to różnie bywa, słyszałem, że oni mają polecenie z uczelni, żeby krew oddać, ale honorowo. O płatnych nie słyszałem.

Facet z tatuażem: — A ja pamiętam takiego jednego, co siedział tutaj w palarni i palił jednego papierosa za drugim. Taki zdenerwowany jakiś, czy co. Mówił wszystkim, że mu się dziecko urodziło i potrzebuje trochę pieniędzy. Tak jakby się tłumaczył, że niby student, inteligentny, a krew oddaje za forszę.

Sąsiad z lewej: — A ja wam mówię, że nie ma się czego wstydzic. Inteligentny — to prędzej powinien zrozumieć, że krew

potrzebna i trzeba oddawać. Honorowo? Panie przecież te inteligenty to mniej od nas, robotników, zarabiają. Jakże to tak, darmo, groź mu się nie przyda?

Mówią o sobie. Z niechęcią podają imiona i pierwszą literę nazwiska. Niby się nie wstydzą, ale zawsze lepiej...

Zygmunt Ł. jest spawaczem, pierwszy raz oddał krew dwadzieścia lat temu w wojsku, jeszcze wtedy honorowo. Dzisiaj ma 42 lata i systematycznie cztery razy w roku zgłasza się do Stacji Krwiodawstwa.

Ma dwoje dzieci. Twierdzi, że bez tych dodatkowych pieniędzy nie dałyby rady domu utrzymać. Zarabia, jak mówi, tylko 6.000 zł, każdy grosz potrzebny. Gdyby nie oddawał? Owszem, musiałby sobie inaczej radzić, nie jest to przecież jakiś mus, ale się przyzwyczaili. Mówi, że jak ktoś oddał krew kilka razy, to musi to robić później systematycznie. Kiedy przychodzi „czas oddania”, z nosa krew leci. To z nadmiaru.

Mirosław Z. oddaje od pięciu lat. Ma teraz 38. Postanowił zaprzestać. Teraz już biorą mu mniejsze dawki, żeby nie tak od razu, ale stopniowo z tym skończyć. Przewiduje, że w przyszłym roku już więcej tu nie przyjdzie. Dlaczego zaczął przychodzić? Ano, jest czekolada dla dziecka, teraz o słodyczy trudno...

Zenon K., podobnie jak Zygmunt Ł. oddaje od 20 lat. Też zaczął w wojsku, później kole- dzy namówili go, żeby oddawał za pieniądze. Tak robił. Tylko dzisiaj to żaden interes, kiedyś się jeszcze opłacało.

Czwarty „płatniak” jest najbardziej szczery. Nie „wciska” mi o trudnościach z utrzymaniem domu. Wali prosto z mostu: — Na wódkę, na wódkę są te pieniądze!

On uważa, że za oddaną własną krew to i pieniądze są własne, nie żeby zaraz zionie oddać. Czasami cztówkowi kieliszek wódki się należy,

a teraz taka droga. Za jedno- razowy „pobór” to najwyższe litra można kupić. Akurat tyle, żeby krwi przybyło. „Zagrychę” bierze się ze stacyjnej stołówki. Jest przecież przydział — bułka z szynką. Zona wcale nie wie, że on krew oddaje za pieniądze. Ma trochę lewej forsy i dzień wolny od pracy. Jak na razie, nie ma zamiaru zrezygnować. „Uprawia” ten proceder dopiero siedem lat. Gdzie mu do kolegów z dwudziestoletnim stażem?

Zygmunt Ł. wspomina, jak kiedyś chował książeczkę krwiodawcy przed żoną. Powiedziała: — „Skończ z tym wreszcie!” i podarła książeczkę. Musiał nową wyrobić. Nowe badania robić. Teraz już nie chowa, już się przyzwyczaili.

Zenon K. to żona nawet po- nagła, jak czasami brakuje pieniędzy, przypomina o terminie.

Jeszcze jakieś bajki próbują mi „wciskać”. Ze niby dwoje dzieci to teraz kłopot. Jak do szkoły chodzą, to książki trzeba kupować, jakoś ładnie ubrać, czekoladę dać w nagrodę za dobre stopnie...

I na koniec: — A najwięcej to jest woj- skowych, tych z zasadniczej służby. Bo oni podobno urlop dostają...

Niektóre stacje krwiodawstwa w Polsce podziękowały słownie „płatnym” za ich usługi. Starczą im krwi od dawców honorowych.

Łódzka Stacja nie zrezygnuje, jak mówi dyr. Anna Samujłło. Wprost przeciwnie, są bardzo pożądanymi. Rocznie w Łodzi 300 litrów krwi pochodzi od płatnych. Tylko trzysta, czy aż trzysta.

Ja jednak upieram się tylko przy honorowych. To jakoś ładniej brzmi i bardziej szlachetne. Ale, skoro trzeba?

Ale, skoro trzeba?

JACEK BINKOWSKI

Znowu pogodny dzień. RADEK i KONIUSZEK z Biura Geodezji i Terenów Rolnych w Elblągu, w którym pracują od lat prawie dwudziestu wzięli więc z dyrekcyj delegację do końca tygodnia i wyjechali w te-

Samochodem zabrali granitowe słupki i pojechali do D. Zlecenie jakie otrzymali spowodowane zostało decyzją wojewody elbląskiego, wydaną na wniosek Spółdzielni Kółek Rolniczych w D. Decyzja dotyczyła wymiany gruntów na terenie tej wsi.

Grunty ciągnęły się wzdłuż wału wiślanego. Ze sobą zabrali mapę ewidencyjną gruntów oraz tzw. operat techniczny z dokumentami geodezyjnymi.

Wyładowali słupki. W najbliższych zabudowaniach zrobił się od razu ruch. Po półtoręj minuty z zagrody wyjechał rolnik.

— To normalne — mówi Radek. — Wiedzą, że przyjechaliśmy mierzyć. Za dziesięć minut będzie ich więcej, uprość cała chmara. Nie trzeba będzie ich nawet wołać.

Istotnie, zaczęli po kolei się zjawiać. Już z daleka krzyknęli „dzień dobry”. Potem przedstawiali się.

Jeden z rolników rozglądał się...

— Oo, dziwne, jeszcze Sawickiego nie ma.

— Jemu teraz się nie spieszy — odpowiedział inny.

Nazwisko Sawickiego padało potem wielokrotnie. Gdy nie było o czym mówić — rozmawiano o nim. Gdy był spór — w ustach też on się pojawiał. Gdy wreszcie on sam był obecny — pozostałych usuwał w cień. Jego głos bowiem był stanowczy, nie znoszący sprzeciwu. Po prostu dominował.

Przed przystąpieniem do całotygodniowych geodezyjnych pomiarów terenowych odbyło się zebranie uczestników wymiany, czyli mieszkańców wsi. Na nim rolnicy przedstawiali swoje uwagi i życzenia, a geodeci zapoznali się z gruntami, jakie zostaną wymieniane. Na zebraniu też poznali Sawickiego, który próbował narzucić swoje rozwiązanie. Powstała scysja. Ale rolnik — Kolbuszewski przełamał się i powiedział mu, że jest ewaniki. Sawicki nie nie odpowiedział.

Na tymże zebraniu Radek z Koniuszkiem wspomnieli rolnikom o celu i zasadzie postępowania wymiennego. A więc muszą możliwie jak najlepiej usytuować i ukształtować grunty ich i pobliskiego SKR D., żeby nie było naturalnych przeszkód w prawidłowym gospodarowaniu.

O wymianę wystąpić mogła do wojewody elbląskiego tylko jednostka gospodarki społecznej. Zrobił to SKR. Wojewoda zobowiązał następnie Wojewódzkie Biuro Geodezji i Terenów Rolnych do wykonania i opracowania geodezyjnego operatu formalno-prawnego.

Radek dla jednego był tym, który zarabiał „grubą” forszę, dla drugich panem urzędnikiem. Wyjeżdżał z domu zawsze wczesnym rankiem, a wracał późnym wieczorem. Często stawało się to powodem konfliktów rodzinnych.

Geodeta jest bardzo rozległym określeniem zawodu. Są określenia bliższe — nieprecyzyjne — i łatwiej przyswajalne dla laików: geodeta — astronom, geodeta — fotogrametr, geodeta — inżynier, geodeta — przemysłowy, geodeta — planista, geodeta — prawnik, wreszcie geodeta — urzędnik. Zazwyczaj jednak tak bywa, że nie może on zawieść swojej wiedzy tylko do swojej specjalności. Musi posiadać nie tylko gruntowną wiedzę z najbliższego zakresu codziennej pracy, ale także dysponować dużym zasobem wiadomości z innych dziedzin jak np. z planowania i przestrzennego zagospodarowania kraju, prawa, ekonomiki produkcji, programowania rozwoju społeczno-gospodarczego.

W tym zawodzie — jak w każdym innym — różne bywa o solidności. Pracując przy robotach inżynierino-przemysłowych geodeta musi zdawać sobie sprawę, że od niego zależy czasami życie setek ludzi. Nie może być niewyspany, zmęczony, bowiem pomyłka w katowym odczynie instrumentu geodezyjnego może spowodować zawalenie budowli, nieoczekiwane kolizje czy wypadki na drodze (geodeta musi wytyczyć np. najbardziej optymalne łuki drogowe). W innych pracach geodeta może sobie pozwolić nawet na duże niedokładności, np. w przypadku prac urządzeniowo-rolnych, w których dokonuje się podziału na nowe działki, a które pod względem przeznaczenia, wielkości, kształtu, wzajemnego układu i wymiarów będą najlepiej odpowiadały założeniom właściwego rolniczej gospodarowania.

Urządzeniowiec ma do czynienia z kilkoma rodzajami prac, jak scalenie, wymiana, parcelacja, regulacja... Terenem jego pracy są przede wszystkim tereny wiejskie. Ma możliwość tym samym codziennego stykania się z różnymi typami i sylwetkami ludzi: spokojnymi, grzecznymi lub porywczymi i nerwowymi. Czasami staje w konfliktach w środku zaognionych sporów i konfliktów ludzkich. Stara się wtedy trzymać z boku, co nie zawsze udaje się. Życie bowiem zmusza go do obowiązku do zajęcia stanowiska, co powoduje i doprowadza do tego, że sam staje się obiektem ataków.

Po dwudziestu minutach na rowerze przyjechał jeszcze jeden rolnik, który „dopiero” dowiedział się o przyjeździe geodetów.

— Te pany tylko kroją, mierzą, dają i odbierają — powitał wszystkich tymi słowami.

— A pan? — zapytał Radek.

— Nazywam się Janicki. Ja jestem tu neutralny — zastrzegł się.

Radek i Koniuszek siedzą na miedzy i porównują teren z mapą. Trwa dyskusja o sąsiedniej działce.

— A ja tego nie chciałbym — wskazuje Sokołowski na położoną koło nich działkę. — Ziemia zaperzona, zachwaszczona. Podobno jakiś zootechnik ją użytkuje, dzierżawiąc od Państwowego Funduszu Ziemi. Któż to tak robi: na tej działce rządzi prawie sam oset. Nie tylko swoje, ale i nasze zarazi.

— A może zawiadomimy naczelnika, który go ukarze — podpowiada inny.

— Gdzie tam urzędnik swojego urzędnika ukarze.

Temat znowu się zmienia. Geodeta musi być psychologiem. Musi umieć także, a może

przede wszystkim, bardzo cierpliwie słuchać. Radek z Koniuszkiem przyjęli taką postawę tylko słuchania i nie angażowania się w niemytoreczne spory.

Janicki przestrzega Koniuszkę przed sędziem na kamieniu.

— Kamień i cement fałszywy. Można dostać diabła. Szkoda, że Sawickiego nie ma, który by na ten temat coś mądrego wymyślił.

— Sawicki na pewno w polu.

— Nie, rozliczenie za rzepak bierze. Sawicki mądrała, ale i rzetelny. Jak robota to robota. Ale i jak pieniądze może mu się sygnąć, to on już na niego pokornie poczeka.

Koniuszek nie może „rozgrzyźć” sytuacji podanej na szkicu połowym. Pomaga sobie mapą. Proponuje w końcu Sokołowskiemu działkę pod słuza.

— Panie, ale ona zaniedbana.

— W ciągu roku czasu przywróci Pan porządek stan tej ziemi. Jest ona najbliższej pańskiej gospodarstwa i łączy się z innymi pańskimi. W końcu jak ją mam komuś przydzielić to najbardziej pasuje panu.

— Rok stracę na doprowadzenie jej do przyzwoitego wyglądu. I co mi po tym, a tym bardziej państwu?

— Może pan zwrócić się przeciw do naczelnika o obniżenie podatku.

Trwa szukanie graniczników. Miary podane na szkicu sytuacyjnym wskazują na linię graniczną wzdłuż plotu, ale co z tego, jeżeli graniczników nie ma.

WACŁAW OPACKI

Skolatanie

„Mądry zwycięża tak, że nikt nie odczuwa jego zwycięstwa”
(Mistrz Wincenty zwany Kadiubkiem).

— Sknocił ci, co robili tu pomiary ewidencyjne.

— A może rolnik wykopał, co zdarza się przecież bardzo często.

Za utrzymanie w należytym stanie graniczników i innych punktów geodezyjnych jest odpowiedzialny rolnik, na działce którego one się znajdują. Geodeta w wypadku stwierdzenia niedbalstwa ma prawo wniesić do kolegium d/s wykroczeń wniosek o ukaranie rolnika.

— Tego raczej jednak nie robimy — mówi Radek.

W międzyczasie przyjechał jednak Sawicki. Od razu zażądał działki pod słuza.

Radek zapytał o tę działkę stojącego z boku Wcisło. Ten odpowiedział pokornym głosem, patrząc jednocześnie na Sawickiego, jakby oczekując od niego przytaknięcia czy też nie-nej pochwały.

— Jak dostał Sawicki, to niech ją użytkuje.

— Ale Sawicki jeszcze jej nie dostał, a dopiero musimy wspólnie nad tym się zastanowić. My chcemy, żeby wszyscy byli zadowoleni. Ale nie wszystkim dogodzimy. Pan teraz przytaknuje, ale za kilka dni pośle na nas skargę.

Radek z Koniuszkiem ustalili, że zmierzają działkę pod słuza i na dzisiaj skończą. Resztę zostawia na dzień następny.

W słownictwie geodety-terenowca: odnajdą graniczniki, nawiąza je do ciągu poligonowego. A może okaże się jeszcze konieczne także zmierzanie czołówek, „strzelanie” jeszcze dla pewności podwórki?

Szarżało już, kiedy wracali do domu. Samochód wcześniej wrócił do biura, więc oni:

autobusem z D. do N., przesiadka na Jelcz do Elbląga. Razem półtoręj godziny jazdy.

W domu Radek wziął jeszcze do ręki kalkulator, szkic terenowy i do... roboty. Musiał przygotować się na dzień następny, więc policzył powierzchnie mierzonych działek. Było już dobrze po drugiej w nocy, gdy poszedł spać. Kilka godzin snu i znowu w autobus i na miejsce wymiany gruntów.

Dzisiaj ma być przydzielona działka Woźniakowi, który chce dostać ją jak najbliższej swojego zabudowania. Żądanie słuszne, co potwierdza głośno Koniuszek, który proponuje właśnie kawałek ziemi zootechnika, o którym wczoraj rozmawiali.

Rozmowa toczy się znowu o Sawickim.

JANICKI: — Gdy bym przewodniczącym Gminy Rady Narodowej to dobrze rzadził. Był przynajmniej porządek na drodze. Chłop jest zresztą zastruszony, bo walczył podobno w Italii. Mówi się teraz, że Sawicki jest działaczem. No dobra, niech będzie tym działaczem. Ale co to za działacz, jeśli w ogóle nie działa. Ja też działam, ale nikt o mnie tego nie wie.

Janicki pracuje „na państwowym”. Codziennie dojeżdża autobusem do Gdańska, ale dla państwa produkuje mięso. W tym roku oddał już pół tony. Jak nie ma go w domu,

to w gospodarstwie uprzęta żona. Teraz ma dziesięć tuczników, które, mówi, wszystkie odda dla państwa. Ma 1,05 ha własnej ziemi i 1,62 ha dzierżawy: po Gajowym, który z kolei dzierżawi ją z Państwowego Funduszu Ziemi. Naczelnik z S. przysłał tu do niego nawet kontrolę, żeby zobaczyli jak sobie radzi. No i kontrolerzy wyjechali bardzo zadowoleni.

Janicki jest istotnie przy tej wymianie neutralny. Do czasu. Gdyby zabrakło ziemi do wymiany dla rolników, których działki zabrano dla SKR, to zabierze się Janickiemu te 1,62 ha. A on chciałby dalej tyle produkować dla państwa co teraz.

Na rowerze przyjeżdża Wcisło. Chce jednak otrzymać tę działkę, którą wczoraj obiecał geodeta. A jednocześnie żali się na tych, co ją uprzednio użytkowali. Swoją ziemię w dobrym stanie oddaje, a dostaje byle jaką. Więc chciałby jakieś rekompensaty.

KONIUSZEK: — Nie bierzemy odpowiedzialności za wieloletnie uprawy na funduszu ziem.

Na „komarku” zjawia się Sawicki.

— Dajemy panu tutaj — wskazuje ręką Radek. — Ziemi pod słuza nie może pan jednak dostać. Tam miałby pan w dwóch kawałkach, dlatego dajemy panu w jednym miejscu.

Wprawdzie działka o mniejszej powierzchni, ale o większej przeliczeniowej wartości.

— Ale ja się nie zaadam.

— Panie Sawicki! I tak ze wszystkich otrzymuje pan najlepsze wartościowo ziemi.

— No dobra, ale dajcie naprawdę w całości.

— Oczywiście, mówię panu właśnie, że dajemy w całości 1,75 ha pierwszej klasy.

— No tak. Oddaję 2,51 ha, a dajecie 1,75. Też panowie prowadzą politykę.

— Ale pan oddaje IV b, a my dajemy pierwszą klasę. Myślę, że jest ogromna różnica, oczywiście korzystna dla pana.

— Dziesięć metrów dalej znowu dyskusja o niewłaściwej uprawie działki.

— Popatrz pan na te działki — mówi do Koniuszki jeden z rolników — tu tyle, a tu ile ostu. Działki naczelnika i sekretarza były ładnie skropione, dlatego ostu u nich brak. Tu jest zaś skropione byle jak, dlatego tak dużo ostu.

— Takiemu Narolskiemu ziemi w ogóle bym nie dał. Tylko ją zabrudzi. Nie tylko samemu sobie, ale jeszcze ludziom pole zaśmieci. Co to za człowiek, który w takim stanie ziemię zostawia. Co to za człowiek...?

Tu gdzie będzie działka Woźniaka droga jest węższa niż powinna, a to dlatego, że rolnicy z obu stron worują się w nią. Naczelnik dał na dzisiaj plugofrezarkę i spychacz do jej regulacji. Sawicki zaraz pojechał do rolnika, który wszedł w drogę aż półtora metra, żeby swoje zboże od drogi odkosił.

Zaraz po wyjeździe Sawickiego Wcisło powiedział:

— Teraz jak Sawicki tę ziemię obejmie, to dopiero zaczęną się kłótnie. Zostanie zburzony spokój. Kiedyś z Janickim się jadł o to, że płaćtwo na działkę wchodził. Niejedną kurek sobie wzajemnie wyrzucił. A teraz z kolei Woźniak zastąpi Janickiego. Znowu niejedna kura pod nóż pójdzie...

W czwartek z samego rana deszcz. W pole trudno wyjść. Gleba gliniasta i jak but w nią wlezie, to w niej pozostanie. Woźniak wygląda na niezadowolonego. Na pewno — zły. Może na samego siebie? Wczoraj chciał działkę, którą otrzymał. Dlatego też Koniuszek z Radkiem uważali go za załatwionego. Ale...

— Po rozmowie z żoną ja nie zgadzam się.

— Przecież pan wczoraj chciał tak, jak jest teraz — w głosie geodety wyczuwa się wyraźne zdenerwowanie. — Dlaczego pan nie mówił o tym wcześniej?

— Wczoraj nie rozmawiałem jeszcze z żoną.

— Panie, na darmo nasza robota — Koniuszek jest już wkurzony.

Woźniak próbuje jeszcze oponować, w końcu rezygnuje. Głośno zastanawia się tylko, jak powiedzieć o tym żonie. Teraz próbuje „zebrać” na Sawickiego, chcąc tym samym odwrócić uwagę od siebie.

Działkę Sawickiego trzeba dalej zepchnąć. Ona nie może być tak ułożona jak wczoraj.

— Nad tym już się zastanawialiśmy.

— No tak, Sawicki w S. u naczelnika sobie odpowiednio załatwił i na was upłynął. Jest przecież w komisji rolnictwa...

— Panie Kochany, nie on nie załatwił i nie załatwi. Każdy dostaje tyle, ile mu się należy i tam, gdzie najlepiej pasuje.

Wcisło chce ziemię będącą własnością mieszkającą obok rolnika.

— Panie Wcisło — tłumaczy Koniuszek. — My nie możemy robić takiego zabiegu, bo byłoby to scalenie, w sprawie którego nie mamy decyzji. Niech pan nas naprawdę zrozumie.

— Ale o tym przecież nikt się nie dowie. Niemożliwe? No, dobrze, to już na wszystko się zgodzę. Zebym tylko ile na tym nie wyszedł. Bo to wie pan...

— Panie, niech pan się nie obawia. Na pewno pan nie straci.

— Przynajmniej tak chciałbym, jak Sokołowski.

— Czy Sokołowski jest tak bardzo zadowolony?

— Jeszcze jak. Wczoraj chwalił się we wsi, że taką dobrą ziemię dostał. Miał pod kanałem IV b, a dostał drugą klasę.

Wcisło załatwiono.

Do tej pory w ogóle nie brano pod uwagę jeszcze Donifacego. Zresztą ani razu on się nie pojawił. Podobno był cały czas w polu. Radek poszedł po niego i zaproponował mu w dwóch miejscach z tego, co po prostu jeszcze zostało.

— Ja na tak układ nie wyrażam zgody. Nie chcę mieć działki w dwóch miejscach, zwłaszcza że jedna znajduje się za wałem wiślanym.

— Dlatego chcemy z panem porozmawiać. Będzie fajnie jak się dogadamy. Zawsze wygodnie będzie dla wszystkich: dla was i dla nas. Wiadomo, że wszystkim nie dogodzimy.

Gdybyśmy doszli do porozumienia, to na zebraniu końcowym zostałyby do załatwienia tylko formalne podpisy pod papierkami. Po co mają być niesnaski między rolnikami.

Janicki jednak nie utrzyma dzierżawionej działki, którą chciał jeszcze dalej uprawiać. Tak jak przewidywano: zabrakło ziemi do wymiany. Janicki skomentował: — trudno i tak bywa”. I ze schyloną głową poszedł do domu.

Donifacy ocłagał się z podjęciem decyzji. Marudził cały czas, w końcu oznajmił, że musi skoczyć do domu i spytać się żony. Wrócił po godzinie z jej błogosławieństwem przystając na proponowany układ.

Koniuszek z Radkiem, w geodezji pracują już ponad dwadzieścia lat. Byli kilka razy odznaczani za swoją pracę. Praca w terenie z rolnikami wymaga od nich przede wszystkim rozsądku. W ciągu kilkunastu lat mieli zaledwie kilka odwołań rolników od swolich decyzji, co znowu w pracy geodety jest dosyć częste. Do tej pracy scaleniowej lub wymiany oddelegowuje się najbardziej doświadczonych ludzi, ale niemożliwe jest wszystkich w pełni zadowolili.

Razem pracują dosyć długo. Nie ptrafiają dokładnie określić jak długo. Te lata przecież leca i leca. Mieszkają w Elblągu. Mają dorosłe dzieci. Ale w domu zjawiają się odczynnym wieczorem. Czasami i święta poświęca, bo tego wymaga na przykład szybko lokalizująca się inwestycja. Żona dosyć często mówi: dajcie spokój z tą robotą na dzisiaj. Przynajmniej rano. Ale dalej pracują.

Ps. Nazwiska zmienione.

Rys. J. Jujka

To był pamiętny rok 1953. Można by do niego odnieść słowa przedwojennej parafrazы poematu Mickiewicza: „O roku uff! Kto ciebie widział w naszym kraju, ciebie lud zowie dotąd rokiem w złym rodzaju...”. Pod jesień rozpoczął się radosny okres dosmucania ludzi. Jak Polska duża i szeroka, przystąpiono do likwidowania popołudniówek i łączenia ich z porannymi tytułami prasy „czytelnikowskiej”. Bezlitośnie obdzierało życie z jego barw i powabów, czernu w określonych instytucjach towarzyszył nastrój euforii. Nie musi Łódź mieć aż trzech gazet, dwie wystarczą w zupełności!

I tak nasz „Express”, mój „Express”, połączył się z „Dziennikiem Łódzkim”. Nową gazetę nazwano: „Łódzki Express Ilustrowany”. Czego chcieli? Był „Express” i jego „Express”, tyle, że wychodził rano.

Niewątpliwą zaletą tej fuzji była nasza przeprowadzka. Z ciasnego lokalu przy ul. Piotrkowskiej 102a przeniesiono nas do gmachu prasy pod numerem 96. Przed wojną dom ten należał do handlowca Dworniana, funkcjonowała tu m. in. załóżna w 1899 r. Giełda; stąd płynęły do lokalnych gazet codzienne, aktualne wykazy kursu walut i papierów wartościowych.

ŁEI zajął całe trzecie piętro. Pokoje duże, przestrzenne, ale i narodu zatrzęsienie. Redakcja nasza zatrudniała niemal pół setki pracowników. Przypominał mi się nasz przedwojenny „Express”. Pracowało w nim raptem pięć osób, z czego Irena Weiss i ja, a zatem niemal połowa personelu, do samego końca — bez pensji. Pracownicy porannej „Republiki” i autorzy z miasta za drukowane u nas artykuły otrzymywali wierszówkę, jak ja i pani Irena. Poza tym: przed wojną „Express” wychodził w objętości 60 stron tygodniowo, ŁEI, ograniczony limitami papieru, nie mógł przekroczyć czterdziestu. Odliczając pierwsze dwie strony, przeznaczane na depesze agencji i oraz „oficjalni”, rosła z dnia na dzień rubryka z repertuarem kin i teatrów, dyżurnami aptek i szpitali, programy radiowe, ogłoszenia i nekrologi — na twórczość tak licznej armii dziennikarskiej zostawało tyle miejsca co kot napłakał.

Szefem ŁEI został Stanisław Mojkowski, rutynowany dziennikarz o zasłużonej sławie dobrego redaktora. Przybył z Gdańska, gdzie kierował „Głosem Wyrzecz”. Przedtem był naczelnym „Dziennika Zachodniego” w Katowicach. I w Łodzi błysnął talentem: w krótkim czasie zrobił dobrą gazetę, która grawitowała swym profilem w kierunku dawnego „Dziennika”, jednakże przewyższała go poziomem.

Okazał się też znakomitym dyplomata. Przy ustalaniu składu nowej redakcji i funkcji poszczególnych pracowników powstały kłasy. Kto ma być pierwszym zastępcą? Franciszka Bazmowa, dotychczasowy redaktor naczelny „Dziennika”, czy Eugeniusz Kroniewicz, od pięciu lat naczelnym „Expressu”? Jesli dzisiaj, bez emocji, spróbować rozstrząść, które z nich miało więcej ku temu danych, sprawiedliwość kazałaby przyznać pierwszeństwo Kroniewiczowi. Wprawdzie nie lubił się przepracowywać, jednak jako wieloletni przed i powojenny dziennikarz przewyższał swą konkurentkę doświadczeniem. Redaktor Mojkowski zastosował unik: nie ma pierwszego, ani drugiego, oboje jesteście moimi zastępcami na równych prawach.

Druga sprawa do załatwienia: kto ma zostać kierownikiem działu sportowego? Kazimierz Rozmysłowicz z „Expressu”, czy Jarek Nieciecki z „Dziennika”? Obaj dobrzy, zasłużeni dziennikarze. Kogo wyróżnił? Nowy redaktor podjął salomonową decyzję: obaj będąc kierownikami. Stan taki nie wytrzymał próby życia — Jarka i Kazia pogodził sprowadzony ze Śląska Tadeusz Tempelhof — decyzją re-

daktora objął on szefostwo działu.

Z sekretariatem redakcji poszło gładko. Powierzono go Włodzimierzowi Stokowskiemu. Mnie, z samodzielnego publicysty, jakim zostałem po pamiętnym „sądzie” w „Expressie”, redaktor Mojkowski awansował na drugiego sekretarza. Jako bezpartyjny, o wyższym stanowisku nie mogłem marzyć. Takie to były czasy i układy.

Nowa, połączona redakcja skupiła braci dziennikarską niemal ze wszystkich wychodzących w Łodzi gazet. Przygarnęła nawet pracowników ze zlikwidowanego wcześniej „Kurierem Popularem” i wychodzącego krótko „Echa”. Od samego początku po wyzwoleniu odbywała się w Łodzi masowa wędrownica ludów z redakcji do redakcji. Dziennikarzy przetrzymywano jak pięćdziesiąt pingpongową. Dziś tu, jutro tam, po kilku tygodniach znowu gdzie indziej. Sporo repów ze starej gwardii przeszło kolejno przez łódzkie redakcje. Absolutny rekord ustanowił Feliks Bąbel. Nie tylko „obskoczył” każdą redakcję gazetową, ale w tzw. międzyczasie zdążył jeszcze założyć „Echo”, którego był naczelnym, przez jakiś czas pracował w „Życiu Warszawy”, kierował łódzkim oddziałem PAP, zaczął zaś po wojnie jako cenzor w Urzędzie Kontroli Prasy!

Przepraszam, znowu sięgnę do przykładów sprzed wojny. Doprawdy nie wszystko wtedy było złe. Choć tego wysilam pamięć, nie przypominam sobie ani jednego przypadku przejścia kogoś z redakcji do redakcji! Byliśmy takimi patriotami swoich gazet, że nawet lepsze warunki w konkurencji nie skusiłyby nas do tego kroku. To prawda, że po wojnie często przenoszono dziennikarzy, nie pytając ich o zdanie, jednakże przejawianie własnej inicjatywy w tym kierunku wcale do rzadkości nie należało.

Kto w jakim dziale pracował w „Łódzkim Expressie Ilustrowanym”? Gdy spróbowałem to sobie teraz przypomnieć, w głowie powstał mi nieprawdopodobny meklik. Dziennikarze przechodzili z działu do działu nie tylko na pogaduszki, ale i do nowej pracy. A co ciekawsze, pamięć zawodzi nawet samych zainteresowanych, których poprosiłem o informację. Nie mogąc się polapać, sięgnąłem do kompletu gazet i na tej podstawie ustaliłem: w prowadzonym przez Henryka Sperbera dziale miejskim krzątał się — Wacław Kasprzak, Zofia Tarnowska, Sergiusz Kłaczek, Halina Stepińska, Zbigniew Skibiński, Waldemar Uchman, Jerzy Silberbach, Aleksander Batorowicz. Przewidywany na kierownika tegoż działu Adam Feliksiak zginął tragicznie. Chyba nie miał jeszcze ukończonych trzydziestu lat.

Działem gospodarczym władał Leopold Beck mając do pomocy Feliksa Bąbela, Krystynę Wyrzyskowską, Witolda Kakowskiego, Mariana Bielickiego i niezłą część już także Bolesława Lesmana.

Nazwisko Lesmana stało się głośne po kilkunastu latach. W 1967 r. wydał frapującą książkę „Recepta na miliony” — tak brzmiał jej tytuł — to saga rodu łódzkich Konów, właścicieli „Widzowskiej Manufaktury”. Główny bohater Oszer Kohn, vel Oskar Kon, talmudysta z biednej rodziny żydowskiej, zaczynał jako sprzedawca resztek bawelnianych. Dążąc do wymarzonego celu — zagarnięcia największych w Łodzi zakładów włókienniczych — nie cofał się przed niczym, nie oszczędził nawet swych dwóch synów Henryka i Makska. Droga pospolitych oszustw, gigantycznych machinacji finansowych, zmuszania kilkudziesięciu armii robotników niemal do katorżniczej pracy, zdobył wreszcie bajkową fortunę. Książka zainteresowała się reżyser Zbigniew Kuźmiński. Chciał na jej podstawie zrealizować film, już nawet opracował z Lesmanem szkic scenariusza. Myślę, że warto wrócić do tej koncepcji, panie Zbysku!

W dziale wojewódzkim ŁEI, pod wodzą Czesława Mondrzyka, repatrianta z Francji, pracowali: Stanisław Bal-Chruszczewski, Leon Jankowski, Michał Galewski, Ada Jaskulska. W dziale kulturalnym — początkowo tylko Mieczysław Jagoszewski i Jerzy Stefkowski. Władysław Orlowski redagował niedzielny dodatek „Panorama”. Niebawem został kierownikiem tego działu. Doszłusowali jeszcze: wiceminister niezadowolona Teresa Wojciechowska, przeuroczy towarzysko, znakomity poliglota, Zdzisław Kozłowiec, Jerzy Lessman (przez dwa „s”, w odróżnieniu od Bolka przez jedno) oraz Jerzy Silberbach, przetrucyony z działu miejskiego. Silberbacha natura obdarzyła absolutnym słuchem: wystarczyło, aby raz usłyszał jakąś melodię, a natychmiast powtarzał ją bezbłędnie, niekiedy gwizdając. Dział listów i interwencji objęła Maja Pęczkowska, tytan pracy i wzór poświęcenia. Wreszcie: depesze. Robili je na zmianę Wiktor Małski i Henryk Walenda, który uprzednio wylapywał byki w korekcie „Expressu”, a potem, do połączenia obu tytułów — razem z Edmundem Tulką, poduczeni przez Sperbera, dublowali go w redagowaniu pierwszej i drugiej strony popołudniówki.

Henio pierwszy z naszego grona poszedł „w ambasadorię”. W 1955 r. po ukończeniu Szkoły Głównej Służby Zagranicznej skierowano go do Indii na stanowisko attache prasowego.

Aha, byłbym zapomnieli o historycznej dacie: pierwszy numer „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego” powitali dożdzanie dnia 1 września 1953 r.

Z nowym szefem od samego początku współpraca układała mi się dobrze. Zanim sprowadziłam rodzinę (przeniosła się do Łodzi), często gościł w moim domu przy ul. Wigury. Szybko przeszliśmy na „ty”, jednakże nie nadużywałem tej zażyłości w naszych kontaktach służbowych. Dużo nauczyłem się od redaktora Mojkowskiego. Z pięciu moich naczelnym po wojnie, po Konstantynie Bogusławskim, był on drugim i ostatnim zwierzchnikiem, któremu zawdzięczam podniesienie mych kwalifikacji zawodowych.

Mój, jak go powszechnie nazywaliśmy między sobą, z miejscą zdobył sobie sympatię całego zespołu. Bezpośredni, towarzyski, o dużym poczuciu humoru, sprawiedliwy i ofiarny, gdy trze-

— Nie powiem pana tak, nie powiem pana nie, powiem pana azaliż.

Mój Boże, jak nam dobrze wtedy było!

(...) W tak licznej gromadzie mieliśmy sporo wolnego czasu. Bieciliśmy się niesamowicie. Na długim korytarzu redakcyjnym puszczaliśmy frygi, które po mistrzowsku strugał z drewna Wiesław Stokowski, rzucaliśmy w siebie krzesłkami (trzeba było chwycić w locie), celowaliśmy lotkami do ponumerowanej tarczy, graliśmy w cybergaję i ping-ponga. Przy przedzielonym siatką stole najczęściej mierzyłem siły z Sergiuszem Kłaczkiem, Henrykiem Sroczyńskim i Jerzym Szelewickim, nowym pracownikiem naszego działu sportowego. Rzadko udawało mi się z nimi wygrać. Za to gonić redakcyjny „Głos”, nie bacząc na nasze tytuły redaktorskie, łoił każdemu skórę ile wiało.

Chętnie też robiliśmy sobie kawę, w czym celował zwłaszcza Leopold Beck. Przysztawialiśmy pod drzwi jakiegoś pokoju znoszone zewsząd krzesła i biurka, tarasując wyjście przebywającym wewnątrz. Takie „dowci-

ŁEI, Moj i inni

ADAM OCHOCKI

ba było stanąć w czyjejs obrobie, wziął nas wszystkich w jasyr. Miał swoje ulubione powiedzenia: „Tylko spokój może nas uratować”, albo — gdy zwracał się do któregoś z nas — „Nad czym pracujecie?”. Kiedyś Jurek Stefkowski odpowiedział: „Nad sobą”. Mój zripostował: „Myślałem, że jesteście kimś, a nie czymś”. Na widok Waldka Uchmana intonował piosenkę burlaków nadwołżańskich: „Ej, Uchman”.

Witał się z nami „z bódra”, nie odrywając lokcia od pasa. Niebawem wszyscy podawaliśmy sobie w ten sposób ręce i powtarzaliśmy odzywkę Moja. Próbowaliśmy naśladować go przy wymawianiu słów kończących się na „a”, ale w naszych ustach brzmiało to chropowato, u niego dziwnie, naturalnie.

— Adaszek, nie jestem zachwycony to czwarto kolumno. Zdejm tę kobyłę i zastap jo inne...

Ja miałem z Mojem dodatkową frajdę. Obaj bardzo lubiliśmy język bohaterów przedwojennych, zmonocowanych piosenek i monologów Lopka Krukowskiego. I gdy nikogo nie było w pokoju, delektowaliśmy się tą pasją.

— To jest a la coś, nie uważasz pan? — pytałem Stasia o zdanie.



Feliks Bąbel

rzekł raz kułak do kułaka... Nazajutrz ktoś z UB zadzwonił do redakcji i kazał mi natychmiast przyjść.

— To wy jesteście autorem tej fraszki?

— Tak.

— Czy ten rysunek nie wam nie przypomina?

Przyjrzałem się uważnie rycinie z ŁEI.

— Nie.

— Aha. A tego też nigdy nie widzieliście? — funkcjonariusz UB podsunął mi pod nos album. Na otwartej stronie ujrzałem... Lenina i Stalina w identycznych pozach, jak owi dwaj obywateli z wyciętego rysunku, do którego napisałem wierszyki!

— Jeszcze nie widziacie?

— Rzeczywiście... Zwykły zbieg okoliczności.

— Kto to narysował?

— Nie mam pojęcia. To rysunek z „Nowin Rzeszowskich”.

Odtąd na wyraźne polecenie Moja musiałem mu pokazywać wszystko przed oddaniem do druku. Ale poeciwoy Stasio lubił kiśle w biurku teksty, które nie od razu znalazły jego uznanie. Podobno los spotkał kilkanaście moich fraszek do rubryki „Gołone, strzyżone”. Gdy 17 grudnia 1955 r. wydaliśmy z okazji 10-lecia, do wewnętrznego użytku, „numer bezcenny” (właściwie, jak to był jubileusz: pierwszy numer „Dziennika Łódzkiego” wyszedł 1 lutego 1945 r., a „Expressu” — 17 stycznia 1946 r.) — pozartowałem sobie ze Stasią, zamieszczając w tej okolicznościowej gazecie taki oto utwór:

Raz do siebie Adaszkę przywołał szef Staszek i powiedział: Dla ŁEI-a napisz pan cykl fraszek. Dla Adaszkę pisanie to po prostu fraszka, więc napisał 100 fraszek i zaniósł do Staszka. Ale Staszek w szufladę upchnął każdą z fraszek, próżno chce ekshumować swe fraszki Adaszek. I widzi: padł ofiarą okrutnych iraszek: nie można pisać fraszek, gdy ocenia Staszek!

Nie zawsze i nie z każdym dobrze układała się Mojej współpracy. Skierowano do nas w trybie ekspedycji karnej rodzoną siostrę osławionego Józefa Świątli, dawnego szefa od bezpieczeństwa. Ani ci, co ja nam podrzucił, ani Stasio, nie wiedzieli, co z tym fanatem zrobić. Tak to wówczas traktowano redakcję — jak wory bez dna, do których wszystko można wrzucić.

Nowy nabytek miał własności zaczynać drożdżowego. Ledwo siostrunia przekroczyła próg redakcji, zasiada ferment, wszędzie wsiubiając swój nos i intrygując. Do maszyni jakoś się nie kwapiła. Przez parę tygodni napisała bodaj jeden artykuł. Mój przydzielił ją do sekretariatu w charakterze pomocy. Próbowaliśmy nas oświecać. Poraził mnie ten nadmiar światła. Pobiegłem do szefa z okrzykiem: — Stasiu, na pomoc! Pomagaj!

Nie popasała zbyt długo w redakcji. Dzięki heroicznemu zabiegom Moja udało się ją sedować czasopiśm „Żyjniy dużej”. Potem wszelki słuch o niej zaginął, ale o ile wiem — została wierna tytułowi owego pisma.

(...) W listopadzie 1953 r., w samo Święto Zmarłych, odszedł od nas na zawsze Eugeniusz Kroniewicz. Mój wrócił właśnie z podróży do Chińskiej Republiki Ludowej. Jak przystało na rasowego dziennikarza, napisał cykl ciekawych reportaży. Zważyło się na niego mnóstwo zajęć i kłopotów. Zbliżały się wybory, w dodatku kilku dziennikarzy podpadło różnym czynnikom, trzeba ich było bronić, co też Mój z poświęceniem zawsze czynił.



Włodzimierz Stokowski

„Mycie głowy” stosowaliśmy początkowo codziennie, chociaż koledzy, na których liczyłem, zawiedli. Czasem Czesio Mondrzyk coś podrzucił, kilka fraszek przyniósł Piotr Goszczyński, pracujący wówczas w „Domu Książki”, głównie jednak zdany byłem na własne siły. Gdy mi poczęło brakować konceptu, wycinałem z różnych pism krajowych rysunki i dorabiałem do nich wierszyki a propos. Kiedyś wpadła mi w ręce rycina przedstawiająca dwóch kutaków. Jeden siedział na krześle, d ugi stał pochylony nad nim. Fraszka zaczynała się:

Karykatury rysował: Stanisław Ibis-Gratkowski

Minęło parę lat. Jesienią 1956 r., ktoś bardzo mądry doszedł do rewelacyjnego wniosku: dlaczego w miastach wojewódzkich nie ma popołudniówek? To pożyteczna lektura dla mas, trzeba je wprowadzić!

Pociągnięto za sznureczki. Łódzka instancja powiadomiła dyrektora delegatury RSW „Prasa” oraz naczelnych, że ŁEI rozdzieli się na dwa tytuły — poranny „Dziennik Łódzki” i popołunowy „Express Ilustrowany”. Drugie co do wielkości miasto musi mieć swoją popołudniówkę, trzeba ubarwiać życie itd.

Nie miał, bo nie miał „Dziennik Łódzki” szczęścia do swego tytułu, tak silnie związanego z Łodzią! Pod tym nagłówkiem zaczął wychodzić w 1884 r. jako pierwsza gazeta łódzka w języku polskim, potem krótko ukazywał się pod tytułem „Nowy Dziennik Łódzki”, po Wyzwoleniu — znowu jako „Dziennik Łódzki”, od 1953 r. „Łódzki Express Ilustrowany”, od 1956 r. „Dziennik Łódzki”, od 1975 r. po nowym podziale administracyjnym kraju — „Dziennik Popularny”. Od stycznia 1981 r., kiedy piszę te słowa — łódzkie znowu cieszą się z przywrócenia dawnej nazwy „Dziennik Łódzki”. Mam nadzieję, że tytuł ten pozostanie na stałe, chyba... że komuś znowu strzeli do głowy jakiś rewelacyjny pomysł...

Nastąpiły gorączkowe dni. Rozdzienie gazet wymagało podjęcia ważnych decyzji: kto, gdzie ma iść? Mój zaprosił mnie na rozmowę. Uczestniczyli w niej Tadeusz Gutkowski, naczelny „Głosu Robotniczego”.

— Adaszek, zawsze tęskniłeś do „Expressu”. Chcesz zostać odpowiedzialnym sekretarzem redakcji?

Bardzo chciałem, chociaż żal mi było rozstać się z Mojem, tak dobrze mi się z nim pracowało.

— A kto będzie naczelnym?

— Orlowski.

To przeważało. Perspektywa wspólnego redagowania popołudniówki z Władimierzem Orlowskim odpowiadała mi. Władek też był zadowolony. Poprosił mnie o przeprowadzenie wstępnych rozmów z koleżankami i kolegami, przydzielonymi do „Expressu”. Skontaktowałem się z nimi, pogadałem o zawodowych sprawach i... nic z tego nie wyszło. Przedstawiciel wydziału propagandy z „Białego domu” oświadczył Mojej krótko:

— Komitet nie zatwierdzi kandydatury Ochockiego. On tylko goni za zarobkiem.

To był ten sam, który tak mnie zwodził z tą broszurą przedwyborczą, a potem odwrócił kota ogonem i naskarżył memu szefowi, że to ja, ponosząc winę, ten sam, który w odwet za to, że nie chciałem ulec jego despotycznym wysiłkom, szkanował mnie bez miary i innym kolegom też nie raz zalał sadzą za skórę... Niech więc już tak zostanie. Odtąd będzie występował pod zwolaniem: Ten-sam.

Zostałem u Moja w „Dzienniku Łódzkim”. Po powrocie z dalekiej wyprawy do Australii — o czym opowiem w innym miejscu — zakomunikowano mi, że na zebraniu zespołu większości głosów nie wybrano mnie do kolegium. Było to równoznaczne z opuszczeniem sekretariatu redakcji. Nie wiem, może koledzy myśleli, że wybiorę wolność, może byłem dla nich za stary, może Ten-sam zapuścił macki... Tak jak przed paru laty zostałem samodzielnym publicystą. Mój podtrzymywał mnie na duchu.

— Łamy „Dziennika” stoją przed tobą otworem. Jesteś piszący, pokaż co potrafisz.

Niedobrze poczułem się wśród dotychczasowych kolegów. Ktoregoś dnia znajomy zadzwonił do mnie pod mój dawny numer w sekretariacie. Oświadczone mu, że „taki już tu nie pracuję”. Spytałem kolega, którego uczyłem zawodu w „Expressie”, czy rzeczywiście tak powiedział obecnemu człowiekowi.

— Dziękuj Bogu — usłyszałem — że cię na taczce nie wywieziono z redakcji.

„Toż nie płoch” — jak stwierdził ruski „bojec”, gdy usłyszał od naszego pogranicznika, że „zopa” to po polsku — duna. W każdym razie wiedziałam już kto na pewno nie oddał na mnie głosu przy wyborach do kolegium.

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfessjonalem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę”. Zaznaczone wielokrotnie skróty pochodzą od redakcji. Przykro nam, że skracamy, ale miejsca mamy tyle, ile mamy. Roztarczone przez Autora rozdziały książki są różnej objętości, a tekst chcemy przećć również ilustrować (red.).



Sergiusz Kłaczek

Stanisław Czajka urodził się w 1926 roku w Warszawie. Studiował filologię polską, a także ukończył wydział malarstwa warszawskiego ASP. Od 1957 roku jest nauczycielem w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Warszawie. W 9 numerze „Odgłosów” z br. prezentowaliśmy jego poglądy i działania związane z upowszechnianiem plastyki. Stanisław Czajka podejmuje również próby

literackie, zastrzega jednak, że nie należy tego łączyć z jego poglądami na temat malarstwa czy sztuki w ogóle. Zaś o tym opowiadaniu mówi: „miałem po prostu jakąś swoją prawdę o tych wydarzeniach i uważałem, że należy ją przekazać”. Sądźmy, że czas przypomnienia Powstania Warszawskiego temu sprzyja.

Pierwsze oddziały powstańcze gdzieś odchodzą. Pojawiają się inne. Nie lepiej uzbrojone. Chłopcy w wieku Jurka: 16–17 lat. Robią wrażenie, że wiedzą po co tu przyszl. A więc ktoś zrozumiał, docenił narażony dom, jako ważną redutę, bo oto dziewczyny skokami, przez Krakowskie Przedmieście noszą benzynę. Butelki zakorkowane i oklejone papierem. Samozapalające. Przy oknach gromadzą się dziesiątki butelek. Jest tego tyle, że Jurek spodziewa się, że tego domu będzie się bronić do końca.

Nagle strzały. Jurek biegnie do okna. Widzi na środku ulicy leżącą dziewczynę w płomieniach. Łączniczka. Niosła butelki. Trafiona kulą upadła. Butelki tłuką się, benzyna płonie. Po obu stronach ulicy okrzyki. Ktoś woła w bramie: „Dawaj marynarkę, do cholery”. Potem wypadają po wariacku, mimo strzelaniny. Chłopcy rzucają się z jakimiś łachami na leżącą dziewczynę, duszą ogień i wciągają nieszczęsną do bramy. W bezpiecznym miejscu jeden z chłopców drżącymi rękami rozdziera podręczny opatrunek. Dziewczyna jest przytomna. Jęczy. Po policzkach spływają łzy. Jurek patrzy na wszystkich z przerażeniem wstrząśnięty do głębi. Już wie, że dziewczyna żyć nie będzie. Silne poparzenie i postrzał w pachwinę. Myśl o śmierci łączniczki budzi w nim gwałtowny protest. Z niechęcią mierzy chłopców oczami: oto przyszli bohaterowie gotowi niszczyć czołgi, a dziewczynom każą nosić te cholerne butelki z benzyną, co jest stokrotnie niebezpieczniejsze i bez chwały.

Trwają w oknach w oczekiwaniu. Nagle cichy okrzyk: jedzie. Zaciśnięte zęby, w rękach butelki. Jurek stoi w głębi domu i patrzy na chłopców. Zazdrości im miejsca przy oknach i przynależności do tej zorganizowanej grupy. W ciszy słychać warkot zbliżającej się maszyny. Gdy znajdzie się przed domem dziesiątki rak wyrzucą z okien butelki z benzyną. Buchają płomienie. Zrywa się wrzawa i okrzyki: „Dostał. Pali się”. Podniecone, rozradowane głosy, a wśród nich wysoko wybijający się jeden: „To ja, to ja trafiłem. Pamiętajcie, to ja”. Jurek zbiega na dół, do bramy. Cofnął się do korytarza i obserwował szalejący ogień. Samochód palił się równym płomieniem. Niemców już w nim nie było. Ciemne zwały dymu chwila przysłaniały zielonkawą kszaltę. Teraz płonęła już nie tylko benzyna wyrzucona z okien, ale palił się silnik, zbiorniki z paliwem, ogumienie, wszystko. Nagle potężna eksplozja. Instynktownie cofnął głowę, przywierając ciałem do muru. Ogromny kawał blachy pancernej przeleciał mu przed nosem. Wystarczyłoby, aby pozostał w bramie i miałby wszystko z głowy — pomyślał krótko. Wyjrzał raz jeszcze. Na ulicy dopalało się podwozie transportera. Szczątki drewnianej bramy wisiały smętnie na jednym ocalałym zawieszce.

Pod wieczór nadjechał drugi wóz. Uzbrojony w ciężką broń maszynową, opancerzony. Prawie czołg. Tym razem zbliżał się z przeciwnej strony. Ostrożnie i dość daleko mijał narażony dom i to, co pozostało po spalonym samochodzie. Rozzuchwaleni chłopcy i tym razem dosięgli Niemców. Płonący, jacy ogłupiali pojazd zaczął kierować się nie do mostu, do swych, a w stronę Kolumny Zygmunta. Z wozu zaczęli wyskakiwać przerażeni żołnierze. Suche strzały karabinowe. Niemcy padają. Transporter pionąc, jedzie powoli w stronę Starówki.

To, co zobaczył potem, było jego największym przeżyciem wojennym. Oto z wąskich uliczek Starego Miasta, z Piwnej, Świętojańskiej i Podwala, wysypał się ogromny tłum ludzi. W niezwykłej scenarii zapadającej nocy, rozświetlonej płomieniami pożarów, zobaczył jak ten tłum, złożony przeważnie z dzieci i wyrostków, otoczył płonący i nieruchomy teraz transporter. Kilku wskoczyło na wierzch, aby gasić ogień, a setki innych, w euforii, odurzone sukcesem, kłębiły się dokoła pojazdu, gotowe na rękach wnieść zdobycz do miasta. Jurek zbliżył. Myślał o eksplozji, która o mało nie urwała mu głowy, o piatach stali fruwających w powietrzu. „Idioty, krety, cholę — powtarzał cicho i mechanicznie zmartwiały wargami, czekając na eksplozję — przecież do ugaszenia tego ognia wystarczałaby drużyna. Po co ten tłum dzieci?” Odetchnął dopiero, gdy pożar opadł, ale uczucie przynębania wracało potem niezmiennie, gdy wspominał ten obraz. Więc tacy jesteście? Czy nie przyjdzie nam krwawo zapłacić za ten brak dyscypliny?

Narażony dom tkwił jak zadra na drodze z centrum dowodzenia Niemców w okolicach hotelu Bristol do przyczółków na Pradze. Zaczęli z Pragi wstrzeliwać się w dom i stojącą tu obok, potężną wieżę kościelną. Pociski artyleryjskie z wżegotem grzeły w murach, powodując niepokojące wyrwy i wznosząc tumany pyłu. Chybkim wbiegli do piwnicy znajdującej się tuż koło kościoła. Była dalej od rozstrzelanej wieży. Ktoś zapalił świecę. Sądząc po zgromadzonych tu rupieciach był to magazyn kościelny. Chłopcy zaczęli pilnie oglądać się i po chwili z triumfem wyciągnęli z jakiegoś kąta skrzynkę białego, mszalnego wina. Rozpoczęło się ogólne, wesołe picie.

Jurek pił także, choć wino nie smakowało mu. Był głodny. Od kilku dni żywił się sucharami i tylko raz dostał od kogoś talerz gorącej zupy. Już po wypiciu połowy butelki zmogło go znużenie. Zaszły się w kąt piwnicy i zasnął. Sny miały wypełnione marzeniami. Śniło mu się, że walka o miasto dobiegła końca. Jest znów w domu i opowiada swe przygody matce, która aż ręce załamuje ze zgrozy. Ze snu wyrwał go mocne szarpnięcie. To których z chłopców: „Ej, ty, opuszczamy ten dom, idziemy na Starówkę”. Jurek patrzył nieprzytomnie. Dziwił się przez chwilę, że jest tak cicho, a potem zerwał się jak oparzony: „Jak to opuszczacie? Więc nie będziecie bronić tej placówki?” Wydawało mu się to nieprawdopodobne. Takie ważne miejsce. I tyle zgromadzonych butelek z benzyną. Tamten odpowiedział: „Nie wiem. Takli rozkaz. Może nas ktoś zmieni”.

Korzystając z chwilowej ciszy, ostatnia grupa chłopców przemyciła bokiem przez plac Zamkowy, tuż koło ruin Zamku, w stronę Starego Miasta. Ostatni biegł Jurek. Przecież to głupota — myślał — tego miejsca należało bronić do końca.

Miał barykadę u wylotu ul. Świętojańskiej. Atmosfera panowała tu zgola niefrasobliwa. Śmiechy, żarty, poczucie bezpieczeństwa. Wczorajsza potyczka i zdobycie transportera, napawały optymizmem. Na wyniesionym z sąsiedniego domu krześle, siedział koło barykady oficer w polskim mundurze. Na piersi lornetka. Na głowie rogatywka. Wysokie buty. Otoczony młodymi powstańcami, coś im tłumaczył. Na pewno jakieś wojskowe mądrości. Nie zwrócili na Jurka najmniejszej uwagi. Byli zafascynowani sobą. Chłopcy, z którymi przyszedł, poszli w kierunku Rynku. Mimo wielu godzin spędzonych razem byli obcy. Stanowili oddział. Nie zaproponowali mu, aby się do nich przyłączył. Był dla nich nieznanym cywilem. Nie miałby zresztą na to ochoty. Wydał mu się dziecinny, niepoważny i mało zdyscyplinowany. Patrzył jak się oddalają. Pełni nonszalanę i światnego samopoczucia, dźwigali zdobyczne wino. Uśmiechnął się. Tego nie zapomnieli zabrać z piwnicy, choć wino było bardziej kradzione niż zdobyte. Do zamyślenia, pełnego wewnętrznych rozterek, dotarły głosy kobiet. Stały zatroskane, grupami, przed każdą bramą, pilnie obserwując ulicę. „Smarkacze, do tego tylko zdolni. Tylko pić potrafią”. W głosach kobiet nie wyczuł ani cienia entuzjazmu, ani odrobiny aprobaty.

Skręcił do katedry. O tej porze było tu pusto. Trochę starszych kobiet, jakiś ksiądz kręcący się przy ołtarzu. W przedsionku kościoła świeża klepsydra. Zbliżył się. Czytał długo i uważnie. A więc jednak umierał. Łączniczka od butelek z benzyną. Po ciężkich cierpieniach. Bohaterską śmiercią. Poczuł się nagle znużony i opuszczony. Nie wiedział w zasadzie, co robić. Cóż z tego, że jest wśród swoich. Przecież nikogo tu nie znał. Tylko tę dziewczynę z klepsydry, bo zginęła na jego oczach. Wypełniła swój obowiązek do końca i już jej nie ma. Ogarnęło go nagłe przygnębienie. Ona wypełniła swój obowiązek — myślał uporczywie — a co z twoim?

Szedł wolno i nagle stanął jak wryty. Zbiegowisko kobiet i dzieci, a wśród nich, tuż koło katedry, w przejściu pod wieżę, zdobyty transporter. Zbliżył się. Obszedł maszynę dookoła. Szarozielone blachy pancerne, a na wierzchu ciężki karabin maszynowy. Znaków niemieckich już nie ma. Jest za to polska nazwa wymalowana białą farbą. Obok strażnik. Jurek myślał: Jak oni wykorzystają tę broń. Przeciw czołgom to na nic. W uliczkach, przegradzanych barykadami, też na nic. Chyba, żeby wymontować broń.

STANISŁAW CZAJKA

Jurek

Włóczył się potem bez celu wąskimi uliczkami Starego Miasta. Gapił się na tłumy młodzieży rozgadanej i pogodnej. Bacznie zaglądał w twarze, ale nie spotkał nikogo znajomego. Był głodny i beznadziejny. Nawet suchary zostawił w swojej — tak właśnie myślał — kamienicy. Na Podwalu przed jedną z bram, zobaczył uzbrojonego mężczyznę z opaską na ramieniu. Stacjonował tu jeden z oddziałów powstańczych AK. Zdobył się na odwagę. Podszedł i zapytał: „Można się do was przyłączyć? Zgubiliem się. Moja grupa została na Pradze”. Wyszło to jakoś głupio, bo w gruncie rzeczy nie był żołnierzem. Męczyłna spojrział na niego z góry. „A broń masz?” Milczał. Tak, rzeczywiście nie miał broni. „Człowieku, takich chętnych bez broni, to my mamy tysiące”.

Gdy przekraczał barykadę, ktoś za nim krzyknął: Dokąd? „Idę na Powiśle — odpowiedział — mam tam rodzinę”. Skulony przebiegł ponownie przez plac Zamkowy, tym razem sam. Kierował się do swej narażonej kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu. Nie wiadomo dlaczego, to miejsce, wystawione już w pierwszych dniach Powstania na ogień niemieckiej artylerii, a być może — ze względu na swe kluczowe położenie w tej części miasta — niedługo już i na bezpośredni atak Niemców — wydawało mu się bezpieczniejsze niż gwarna, przeżywająca euforię wolności Starówka. Gdy znalazł się na miejscu ze zdumieniem stwierdził, że w kamienicy są powstańcy. Więc jednak docenili to miejsce — myślał bezosobowo o polskim dowództwie. Od razu poprawił mu się humor. Tym razem oddział nie był liczny. Najwyżej kilkunastu żołnierzy. Tak, właśnie żołnierzy. Nie byli podobni do tych cywilów z opaskami, którzy zjawili się tu w drugim dniu Powstania, ani do krzykliwej zgrai chłopaków obrzucających benzyną niemieckie samochody pancerne kilka dni później. Ci byli starsi, poważniejsi i o dziwo umundurowani. Wszyscy w zdobycznych panterkach, hełmach i bez wyjątku uzbrojeni. Karabiny, gdzieśgdyś pistolety maszynowe. Jakoś naprawdę budząca zaufanie grupa. Ci na pewno tanio nie sprzedadzą swej skóry i bić się będą do końca. Wiedział, że gdy Niemcy otrząsną się i poważnie zaatakują — a zrobią to zapewne i od Powiśla, i od Krakowskiego Przedmieścia — z tego domu odwrotu nie będzie. Wyjątkowość sytuacji i tak dobrane towarzystwo, a być może i perspektywa ważnych zdarzeń, wszystko to sprawiło, że Jurek nie myślał o głodzie, który mu dokuczał, ani o możliwej śmierci — tylko cieszył się, że jest w tym miejscu i że może się tu na coś przysłać.

Chłopcy z oddziału okazali się koleżeńscy. Podzielili się z Jurkiem jedzeniem i traktowali go przyjaźnie. Gdy zapadł wieczór leżał wśród nich przy jednym z okien, w pełnym napięciu oczekiwaniu. Cisza w domu zupełna. Jurek ze ścisłym sercem patrzył na to, co się działo na zewnątrz. Oto niewidoczni z daleka Niemcy palili Krakowskie Przedmieście. Fala ognia potężniała, ogarniając jedną po drugiej, wspaniałe, zabytkowe kamieniczki. Łuna na pół nieba, trzask pękających szyb i huk walących się stropów. Takiego pożaru i takiej premedytacji w niszczeniu jeszcze nigdy nie widział. Mimo grozy, jaką budziła ta paląca się ulica, próbował myślać o garnąco, co oglądał i przeżywał. Taktika Niemców wydawała mu się oczywista: zepchnąć ogniem ludność i powstańców w głąb Starego Miasta i otworzyć bezpieczny ruch w stronę mostu Kierbedzia. Konieczny ruch dla walczącej na Pradze niemieckiej armii. Teraz Krakowskie Przedmieście. A potem? Czy zdąży przyjąć pomoc zza Wisły? Noc cała zeszła mu na obserwowaniu pożaru i na cichej rozmowie z leżącymi obok niego chłopcami. Wszyscy byli przygnębieni, beznadziejni i smutni.

Nad ranem Jurek się zdrzemnął. Obudził go ruch wśród żołnierzy. Najbliższy sąsiad, wysoki i przystojny, rzucił mu z bladym uśmiechem: „Zegnaj. Odchodzimy. Dostaliśmy rozkaz”.

Został sam. Czuł się nieswojo. Zamyślony chodził po wszystkich piętrach, przystawał przy oknach, obserwował pustą ulicę i domy po przeciwnej stronie jezdn. Część domów bliżej poczty Saskiej dopalała się, strasząc pustymi oczodolami wypalonych okien: te na przeciwko, między Miodową a placem Zamkowym, stały nienaruszone, ale martwe i opuszczone. Domyślał się, że są w nich ukryte placówki powstańcze. Powstańcy — rozmyślał z ironią — ni to wojско ni to cywile. Ogarnięta entuzjazmem i pijana wolnością banda chłopaków i dzieci. I dziewczęta, tak niesłychanie serio traktujące swe obowiązki. Wszystko to niepoważne, zwariowane, absurdałne. Czekają tam, daleko po przeciwnej stronie ulicy, bez szans zagrożenia niemieckim samochodom pancernym, które wożą ludzi i mel-dunki. Są za to bezpieczni w oparciu o Stare Miasto, do którego mogą się w razie bezpośredniego ataku czy próby okrążenia — wycofać. Czemu nie atakują? Czemu są tak bierni? Wojsko bez wyobraźni, dyscypliny i siły. Nie wykonali tu, na przedpolu Starówki, w miejscu najbardziej czułym i naważnym dla Niemców w tej części miasta, dwu podstawowych rzeczy: nie zbudowali do końca barykady — przeszkody. Jak dzieci rozbabrali robotę, aby ją z niewiadomych przyczyn przerwać. Nie podjęli też — tego nie mógł im chyba najbardziej wybaczyć — obrony narażonego domu koło wieży kościelnej. W domu tym płał się teraz samotny i beznadziejny, choć było to doskonale miejsce, z którego należało skutecznie razić Niem-

ców. W głowie mu się nie mieściło, że tam, w sztabach powstań-czych, doświadczeni oficerowie nie potrafili docenić i przeprowadzić tego, co dla niego, 17-letniego chłopca, było oczywiste i konieczne.

Co robić? Zostać tu i czekać na Niemców? To pewna śmierć. Uciekać znów na Starówkę? O tym Jurek myślał z przykrością. Ten dom wydał mu się po tych kilku dniach, bliski i ważny z przyczyn już najzupełniej osobistych. Żał mu było stojących przy oknach butelek z benzyną, które z takim poświęceniem zgromadziły łączniczki. Wydawało mu się, że jeżeli odejdzie, całe poświęcenie dziewczyny, która tu zginęła i jej śmierć tragiczna, staną się już zupełnie bezsensowne. Zatrzymał go także oczywisty romantyzm sytuacji. Jestem więc — rozmyślał — w miejscu ważnym, osamotniony, ale bez uczucia lęku, które towarzyszy powstańcom. Ba, czy rzeczywisty jest właśnie tak? Gdy kryję się jak szczur — kontynuował swój dialog wewnętrzny — to romantyzmu nie ma tu żadnego, ani też odwagi. Po prostu szczur. Dopiero, gdybym walczył, gdybym rzucał te cholerne butelki z benzyną, a potem ewentualnie zginął bohaterską śmiercią — to wtedy byłby romantyzm. Jeden przeciwko wielu, obrona ważnej reduty do końca. To nawet ładne.

Do rzeczywistości przywołał go znany dźwięk. Nadjeżdżał od mostu niemiecki wóz. Instynkt kazał mu cofnąć się w cień. Kątem oka obserwował z wysokości drugiego piętra, przesuwający się szybko i bez przeszkód pojazd. Z góry widać było siedzących w środku Niemców. Stalowe hełmy i gotową do strzału broń. Mimo całej grozy sytuacji Jurek nie mógł uwolnić się od kontynuowania swych rozmyślań: Gdybym obrzucił teraz Niemców tymi butelkami, dokonałbym znacznego czynu. Zniszczyłbym transporter, a być może spowodowałbym także śmierć siedzących w nim ludzi. W gruncie rzeczy to wcale nie trudne. Trzeba wziąć do ręki butelkę, potrząsnąć i rzucić. Benzyna sama się zapali. W papierze, którym oklejona jest butelka, jest proszek. Połączenie tego proszku z rozlaną benzyną daje samozapłon. Tylko czy to pewne? A jeżeli się nie zapali? Albo jeżeli nie trafię w pedzacy samochód? O niebo łatwiej trafić, gdy rzuci dziesięciu ludzi, dziesięć butelek. Jednemu zawsze trudniej. Przecież ty nigdy nie rzucałeś butelek z góry, do ruchomego celu — przekonywał się uczciwie — może to okazać się wcale nie takie łatwe. Głupstwo — odpowiadał z wielką pewnością siebie — nie wygląda takie rzucanie na problem zbyt trudny. Widziałem przecież, jak robili to ci niewydarzeni Powstańcy. Poza tym Niemcy wyraźnie boją się. Nie wiedzą jakie siły powstańcze są w tym domu. A do tego straszy ich ten wypalony wrak samochodu koło zniszczonej bramy. Dobrze — zreflektował się — ale zaatakowani Niemcy, w jakichś akcie rozpacz, mogą wskoczyć do bramy torując sobie drogę granatami. To doświadczeni żołnierze. Wiedzą, że ich towarzysze zginęli na otwartej ulicy. Rozstrzelani przez ukrytych Powstańców, gdy tylko opuścili pałac się transporter. Mogą w końcu wyciągnąć wnioski z faktu, że z okna wyrzucona została jedna, no, dwie butelki. Na więcej nie byłoby czasu. I co wtedy? Tej chwili bał się najbardziej. Nie śmierci, ale tej beznadziejności i bezbronności. Miał wtedy pistolet maszynowy i bronić się do końca. Zab za zab. Były wprawdzie jeszcze butelki z benzyną. Ogromna ilość. Ale perspektywa walki z Niemcami przy pomocy butelek, rzucanie w nich benzyną, gdy biegna po schodach, była absurdałna. Wiedział, że nie zrobiłby nawet pół zamachu, a już by nie żył. Jego poczucie realizmu mówiło mu, że byłby wtedy bez szans. Nie tylko uratowania życia, ale i podjęcia walki. A nie chciał ginać jak zagonione zwierzę.

Transporter minął bramę. Nic się nie stało. Jurek poczuł dreszcze. Dotknął ręką czoła. Było trochę rozpalone. Gorączka, czy tylko te myśli? Mogłem się przeziębici, przyszło mu do głowy — ale chyba nie. Przecież pogoda jest cudowna. Po deszczach pierwszego i drugiego dnia Powstania, niezmiennie od kilku dni świeci słońce. Jest ciepło.

Stan napięcia, w jakim się znajdował był jednak równoznaczny z gorączką. Chociaż odpędzał od siebie wiele niegodnych — i jak mu się zdawało — wstydliwych myśli, to przecież jedna wracała bezkarnie. To Powstanie jest głupie i niewydarzone. Gdyby dostał broń walczyłby nie gorzej od innych. W każdym z tych chłopaków — Powstańców oprócz motywów szlachetnych, patriotycznych, czy wręcz żądzy odwetu — tkwi fascynacja bronią i strzelaniem. Jest także właściwa wiekowi potrzeba czynu. Potrzeba sprawdzenia się. Fascynująca zabawa na krawędzi śmierci. A ja w końcu jestem taki sam jak ci chłopcy.

Myśli kotłowały mu się w głowie. Przypomnił sobie usłyszaną kiedyś maksymę, że lepiej być żywym tchórzem niż martwym bohaterem. Ta myśl wracała uporczywie. Tak jakby z góry bronił się przed jakąś nieopatrzną, a przecież możliwą decyzją. Obruszył się. Nie, to jest myślenie niegodne i obrzydliwe. Fakty są oczywiste: dzielność budzi szacunek i podziw, a tchórzostwo jest nędzne i mało-słatkowe. Wystarczy raz ulec podszeptom strachu, aby dorobić się garbu, który potem dźwiga się przez całe życie. Nie możesz przecież — mówił do siebie — odejść stąd, czmychnąć tchórzliwie, gdy czyn jest w zasięgu twojej ręki. Nie możesz uciec bez tej małej próby i stwierdzenia, kim właściwie jesteś. Do czego jesteś zdolny. Uświadomił sobie naraz, że rozważania jego przesuwają się na płaszczyznę wolnej woli i zdolności człowieka do podjęcia godnej decyzji bez oglądania się na konsekwencje. Ale nie był to koniec tej wewnętrznej szarpaniny. Nie bądź idiotą — dawał o sobie znać instynkt samozachowawczy — nawet jeżeli dokonasz swego czynu, jeżeli nawet podejmiesz swoją wariacką decyzję rzucania butelek na uzbrojonych po zęby Niemców, no i w konsekwencji oczywiście zginiesz, to kto o tym będzie wiedział. Jesteś przecież sam jak palec. Nie masz przy sobie żadnych dokumentów. Kto zidentyfikuje twojego trupa? Kto pośmiertnie przypnie ci — zasłużony niewątpliwie — krzyż walecznych? Kto wreszcie opíše cię w książkach, co mogłoby być najslodsza nagrodą za twoje bohaterstwo?

Ejże, rozczulam się — stwierdził krytycznie. Ale za chwilę przyznał sobie rację. Rzeczywiście. To jest poważny szkopuł. Bohaterstwo bez ludzkich oczu, które mogłyby je zobaczyć i docenić? O, nie, kochany — skarcił się — to tylko twoja wewnętrzna sprawa i twoja próba. Nic nikomu do tego. Nie będziesz przecież spraszał widowni na ten cholerny spektakl. Może jeszcze dziewczyny? Dobrze sobie. Tu zastanowił się. To też ważne. Co ty właściwie wiesz o życiu — mówił do siebie — twoje życie to książki, marzenia i kopanie piłki. Przecież to absurd nadstawiać głowę właśnie teraz. Nie bądź głupi.

Około południa usłyszał znów znajomy dźwięk. Z nieuchronnością losu toczył się wiaduktem Pazuera w stronę Krakowskiego Przedmieścia gasienicowy pojazd. Wziął łagodny łuk i cierpliwie, niezbyt spiesznie, piał się w górę. Gdy minął zakręt — przyspieszył Jurek mógł dojrzeć skulonych Niemców w ostroń z blach stalowych. Strzelcy przy karabinie maszynowym uważnie wpatrywali się w otwory okien. Jurek instynktownie czuł, że tamci także boją się. Był blady, ale spokojny. Myślał: Koniec z dyskusjami. Wszystko to brednie. Zrobisz co zechcesz. Nie ma tu nikogo, kto mógłby ci rozkazywać lub powiedzieć: nie rób tego. Ale jeżeli nie rzucisz butelki na ten transporter, nie będziesz miał szacunku dla siebie do końca życia. Będzie cię zawsze przesładowała myśl: miałem okazję, mogłem, tylko ode mnie to zależało i próby nie podjąłem.

Gdy pojazd znalazł się tuż pod oknem, Jurek wziął szeroki zamach i wyrzucił na dół butelkę. Przejęty, podniecony i niepomny rzutu, mocno wychylił się z okna. Psiakrew — nie trafiłem. Transporter oddał się pospiesznie, a z tyłu, na jezdni, paliła się szeroka plama benzyna. Odetchnął głęboko. Był szczęśliwy. Jednocześnie uświadomił sobie smętnie: coż, zawsze lepiej kopaniem piłki, niż rzucać kamieniami. Tego też trzeba się nauczyć. Ale zaraz pocieszył się: może to nawet dobrze, że nie trafiłem tych ludzi.

Lekkoć piszę o książce, przesładuje mnie uczucie, że dotykam żywego organizmu. Przez lata ludzie nie mający kwalifikacji dokonywali na tym organizmie brutalnych zabiegów. Tam, gdzie potrzebni byli lekarze, przysyłano najczęściej znachorów. To cud, że polska książka jeszcze żyje i funkcjonuje. Jesteśmy ostatnim krajem europejskim, gdzie po książce stoi się w kolejce. Ostatnim krajem, w którym zapomniano, że edukacja narodu odbywa się za pomocą słowa drukowanego. Osiągnęliśmy wydawnicze dno — 3,7 egzemplarza na głowę statystycznego Polaka. I gdyby nie sejmowa uchwała, kładąca kres tej katastrofie, być może książkę moglibyśmy oglądać jedynie w specjalnych muzeach. Wyobraźmy sobie rozmiar klęski, ale zanosisz się na to, że regres wydawniczy będzie się pogłębiał. Dziś odrabiamy straty, choć na dobrą sprawę w kulturze niczego nie można odrobić, gdyż czegoś się nie nauczyło. Jan nigdy nie będzie umiał. Dobrze się jednak stało, że przynajmniej wstępujące w życie pokolenia będą miały szerszy kontakt z polską książką. Na ten rok przewidziano wydanie 171,1 mln egzemplarzy. Będą to książki szczególnie ważne i potrzebne z punktu widzenia, wspomnianej już, edukacji narodowej. A więc: podręczniki szkolne i akademickie, książki dla dzieci i młodzieży, literatura piękna, słowniki i poradniki. Do tej pory, tzn. w ciągu i pół roku wydano 2.556 tytułów w nakładzie blisko 75 mln egzemplarzy, czyli z założonego planu zrealizowano zaledwie 43 proc. 600 tytułów (15 mln egz.) zeszło z maszyn i oczekuje na oprawę, a jak wiadomo powszechnie brakuje nam kartonów i urządzeń introligatorskich. To „wąskie gardło” poligrafii jest przedmiotem wnikliwej analizy obecnego Zrzeszenia Przedsiębiorstw Państwowych „Poligrafia”. Należy jednak sądzić, że w drugim półroczu tempo druku nie spadnie i pozostałe 3.400 tytułów o łącznym nakładzie 95 mln egz. znajdzie się w księgarniach.

Minister Kultury i Sztuki przedłożył szczegółowy program poprawy sytuacji książki w Polsce. Zwiększy się o 8,5 tys. ton papieru, a przemysł: maszynowy i lekki mają zapewnić odpowiednią produkcję farb poligraficznych klejów, płócien introligatorskich, bion fotograficznych, drutu, taśmy mosiężnej itp. Także Komisja Kultury KC PZPR obradowała nad możliwościami zwiększenia produkcji wydawniczej. Wskazywano na brak właściwego systemu zakupu książek przez biblioteki, poddano także krytyce nieuzasadnione często zawyżanie przez wydawców cen książek. Wysłano projekt, by resort kultury i sztuki w porozumieniu z resortami nauki i oświaty wystąpił o obniżenie cenami urzędowymi podręczników szkolnych i akademickich oraz lektur, a cenami regulowanymi — książek dla dzieci i młodzieży, literatury naukowej i fachowej, poezji, dramatu, nut i debiutów literackich. Ceny umowne ustanawiane będą na literaturę piękną, na książki popularnonaukowe, albumy, słowniki, leksykony i encyklopedie.

Podobno statystyka nie kłamie, chyba że została świadomie zafałszowana. W 1977 r. wydano w kraju tytułów książek i broszur — 7.122 tys. Był to, mówiono, rok dobry. W 1978 r. ukazało się aż 7.348 tys. tytułów i popadliśmy w euforię, bowiem wydawało się, że jesteśmy w stanie dogonić najbardziej pomyślny rok 1974, kiedy to osiągnęliśmy aż 4,7 egz. książek na jednego statystycznego mieszkańca. Niestety, zaczęła się równa pochylą: 1979 rok — 7.148 tys. tytułów, 1980 — 6.878 tys., 1981 — zaledwie 5.665 tys. czyli doбилиśmy do dna. Na tym tle nasze Wydawnictwo Łódzkie nie wypadło tak całkiem źle w porównaniu z takimi potentatami jak Czytelnik czy Państwowy Instytut Wydawniczy. I tak w 1977 r. — 48 tytułów, 1978 — 51, 1979 — 49, 1980 — 56 i 1981 — 48 tytułów. Rosły natomiast nakłady i w roku najbardziej kryzysowym, jakim był 1981 osiągnęły średnią wysokość 22 tys. egzemplarzy, przekraczając w ten sposób o kilka tysięcy własne wydania z lat poprzednich. W tym miejscu warto pokusić się o niewielkie zestawienie, które pozwoli na umiejscowienie łódzkiej oficyny wśród innych wydawnictw. Aby nie przeciążyć czytającego liczbami, zestawmy ze sobą dwa kolejne, najbliższe lata: 1980 i 1981. Jestem przekonany, że malkontenci, którzy zawsze mają za złe Wydawnictwu Łódzkiemu, zmieniają swój niesprawiedliwy sąd. Oto w 1980 r. WŁ wydało 56 tytułów. Wyd. Lubelskie — 61, Wyd. Morskie — 77, Wyd. Śląskie — 71, Wyd. Poznańskie — 94. Pamiętajmy, że w tym roku zamęt w kraju dopiero się rozpoczynał, strajki nie były tak powszechne, jak rok później. I właśnie w 1981 r. ilość wydanych przez WŁ tytułów spadła do 48. A jak to jest w innych? W Lubelskim aż do 34, w Morskim do 52, Śląskim do 70 i w Poznańskim do 85 tytułów. Specjalnie wybrałem małe oficyny, które posiadają podobne do naszych możliwości, a zapewne nie obce im są także problemy, jakie musi rozwiązywać Wydawnictwo Łódzkie. Z przytoczonego zestawienia wynika, że w Łodzi nie było aż tak źle, że inni mieli dużo gorzej.

Jeszcze niejedną raz będzie się pisać o minionym dziesięcioleciu, które wszyscy witaliśmy oklaskami, a pożegnaliśmy ogólnonarodowym protestem. Pisarze partyjni skupieni przy Warszawskim Oddziale Związku Literatów Polskich, w przededniu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, wystosowali specjalny memoriał, domagający się należytego miejsca dla kultury w życiu narodu. Wskazywali w nim na śmiesznie niską wielkość środków przeznaczonych w budżecie państwa na rozwój kultury, który wynosił wówczas 0,7 proc. rocznego budżetu. Rozumiejąc trudną sytuację kraju, domagali się, aby docelowo, powiedzmy w najbliższych pięciu latach, wielkość tych środków osiągnęła cyfrę 2 proc. Pisarze uważali, że z tej sumy winno być przede wszystkim zabezpieczone środki materialne dla odbudowy i rozwoju przemysłów papierniczych i poligraficznych i to w takich rozmiarach, aby w najbliższych 10 latach mogło nastąpić podwojenie ilości wydawanych książek, co oznaczałoby 8 egzemplarzy na statystycznego mieszkańca. Pisarze obliczyli, że na potrzeby kultury, oświaty, nauki i literatury w latach osiemdziesiątych przeznaczano zaledwie 16 proc. ogólnej puli papieru, z czego na literaturę piękną przypadało jedynie 4 proc. Był to głos ważki. Zjazd partii w przyjętym programie poświęcił polskiej książce wiele uwagi. A sądząc z podejmowanych przez KC i Rząd decyzji, wszystko jest na do-

brej drodze i nie za 10 lat, a dużo szybciej dźwigniemy się z tego sromotnego upadku, odbijemy od dna.

Zmiany na lepsze rozpoczęły się od likwidacji Zjednoczenia Przedsiębiorstw Wydawniczych Naczelnego Zarządu Wydawnictwa. W to miejsce powołano Departament Książki, także podległy Ministerstwu Kultury i Sztuki. Będąmy do brej myśli i miejmy nadzieję, że odnowa w ruchu wydawniczym nie ograniczy się jedynie do zmiany nazwy jednego departamentu na drugi. Wspomniany Departament Książki skupia 18 wydawnictw na 38 istniejących w Polsce. Są bowiem wydawnictwa resortowe, naukowe, partii politycznych itp., które nie podlegają Ministerstwu Kultury i Sztuki. (Np. „Nasza Księgarnia” — podlega Ministerstwu Oświaty i Wychowania, PWN — Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego, „Ossolineum” — Polskiej Akademii Nauk...). Departament Książki jest jak gdyby ramieniem wykonawczym Ministerstwa Kultury i Sztuki. Oczywiście w założeniu ma on inne zadania, a więc: nie rozlicza wydawców ekonomicznie, nie

EUGENIUSZ IWANICKI

Odbicie od dna

rozlicza od strony finansów, nie posiada własnego działu kadr itp., po prostu nie ma tych wszystkich elementów, jakie miał Naczelny Zarząd Wydawnictw. Zadania Departamentu sprawdzają się do koordynacji działań ruchu wydawniczego (chodzi oczywiście o to, by dwóch wydawców nie robiło jednocześnie tego samego), do uzgodnień planu, a także do pewnych ingerencji w plan. Ingerencje mogą polegać na tym, że Departament może sugerować wydawcom konieczność jakichś wydań, np. może to dotyczyć książek koniecznych do edukacji narodowej.

Departament Książki będzie także korygował zaopatrzenie wydawnictw w papier. Zmienilo się więc o tyle na lepsze, że poza przydziałem limitów papierów, władza Departamentu się kończy. Decyzja co i jak drukować należy do wydawcy.

Nie tak dawno obowiązywało zarządzenie, że wypracowany zysk wydawnictwo przekazywało do ministerstwa, a ono z kolei przydzielało pieniądze na dofinansowanie każdego tytułu. Była to niepotrzebna kolomyjka i przekładanie tych samych pieniędzy do tych samych kieszeni. Wydawnictwo Łódzkie odprowadzało rocznie do budżetu państwa około 11 mln zł, a dofinansowanie, jakie otrzymywało z Ministerstwa Kultury i Sztuki wynosiło zaledwie 2 mln. Od 1 stycznia br. cały zysk zostaje na miejscu. W tym roku po opłaceniu wszystkich świadczeń, tzn. podatku (a jest on bardzo wysoki, progresywnie wzrastający nawet do 90 proc.), odzysku, nowego podatku stabilizacyjnego, funduszy aktywizacji zawodowej, w Wydawnictwie Łódzkim pozostanie 6-7 mln zł. Jest to suma, którą można przeznaczyć na zakup mebli, na zakup maszyn poligraficznych do własnej drukarni (a jakże, WŁ otrzymało taką i teraz dokonuje w niej modernizacji), przeznaczyć na akcję socjalną itp.

Wydawnictwo Łódzkie nie musi zabiegać w Ministerstwie Kultury i Sztuki o dofinansowanie. Jest bogate i może nawet udzielić pomocy finansowej innym. Mimo to kredyt istnieje, jak zresztą dla każdego przedsiębiorstwa państwowego. Jest to tzw. kredyt założycielski, procent

od wartości produkcji. Oczywiście wydawnictwo może z niego korzystać, choć nie ma w tej chwili takiej potrzeby.

Pisząc niniejszy artykuł chciałem mieć kilka danych o naszej łódzkiej oficynie wydawniczej. Uzyskałem je z pierwszej ręki, to jest od Dyrektora i Redaktora Naczelnego dr JACKA ZORSKIEGO.

— Kiedy rozmawiałem o poligrafii z dyrektorem Łódzkiej Drukarni Dzielowej i zapytałem go, dlaczego dziś tak mocno śrubuje się ceny książek, odpowiedział, że przyczyną tego stanu rzeczy należy szukać poza drukarnią...

— Ceny są sprawą skomplikowaną jedynie dla kupującego. Dla wydawcy stanowi ona pewną niezbędną konieczność. Książki są drogie, to prawda. Ale utrzymuje się powszechnie opinia, że Wydawnictwo Łódzkie wydaje zbyt tanie książki w porównaniu do innych oficyn. Nawet mam z tego powodu zarzuty, że zaniżam średnią cenę krajową. To prawda, gdyż wystarczy

pójść do pierwszej z brzegu księgarni, by się o tym przekonać. Myśmy ustalili, że powieść 10-12 arkuszowa będzie u nas kosztować od 40 do 60 zł. To tanio, zważywszy obecną się nabywczą złotówkę. Ale nasz plan jest oparty na kilku, nazwijmy to, słupach ekonomicznych. Mamy książki drogie, np. „Motory” Emila Zegadłowicza czy „Przy szabasowych świecach — wieczór drugi” Horacego Sajfina. Zarobiliśmy na nich sporo. Można by było postawić zarzut, że ta ostatnia książeczka, ani przecież specjalnie ładnie wydana, ani gruba, kosztowała aż 80 złotych. Zapewniam, że ta cena była starannie i precyzyjnie wyważona. Jest to literatura rozrywkowa, czyli, powiedziałbym, luksusowa. Dlatego czytelnik za tego rodzaju książki będzie płacił drożej.

— W ten sposób wydawnictwo w krótkim czasie stanie się miliarderem...

— Otóż nie. Pieniądże uzyskane ze sprzedaży tej książki umożliwiły wydanie tomików poezji w cenie 30 zł, choć ich faktyczny koszt dochodzi już do 120 zł. Przecież mogliśmy zastosować prosty zabieg i sprzedawać swoje książki zaledwie z 10 proc. zyskiem. Dla nas, dla egzystencji wydawnictwa to w zupełności by wystarczało. Ale wówczas „Przy szabasowych świecach” kosztowałyby, powiedzmy, 25 zł, natomiast tomik poetycki aż 132 złote! Kto kupi tomik wierszy za taką cenę? W ten sposób zarznelibyśmy poezję. Podobny los spotkałby publikację naukową, które kosztowałyby wówczas od 500 zł wwyż. Praktycznie zarznelibyśmy każdą książkę, której nakład byłby niższy niż 20 tys. egzemplarzy, bowiem tylko nakład przekraczający tę liczbę oscyluje zaledwie w okolicy zysku zerowego. Dopiero nakłady 30-tysięczne i wyższe przynoszą dochód. Owszem, niskonakładowy tytuł może także przynieść zysk, ale wówczas trzeba byłoby horrendalnie podnieść cenę jednego egzemplarza. Ale to się nie kalkuluje. Dzisiejsza poligrafia — to już przemysł, a w przemyśle wiadomo, że duża seria jest tańsza od krótkiej. Na przykład: rozpoczynamy serię książek dla dzieci, bogato ilustrowanych i barwnych. Będą one kosztować przypuszczalnie 30 zł za egzemplarz. Ale wydamy je w półmilionowych nakładach, co przyniesie zysk bez podnoszenia

ceny. — Chciałbym jeszcze powrócić do owych „słupów ekonomicznych”. Czy takimi była antologia „Kwiaty łódzkie”, na którą czekaliśmy przez tyle lat...

— Nie, nie były one wspomnianymi słupami, choć kosztowały 100 zł. Zależało nam na tym, by Łódź, jako miasto-bohater dotarło poprzez tę antologię do szerokiego odbiorcy. Dopłaciliśmy do tej książki, fakt. Powtarzam: tanie muszą być książki służące edukacji narodowej, książki niezbędne dla szkół, książki uczące Polaków ich własnej historii. Inne — muszą na nie zapracować. I dlatego „Przy szabasowych świecach” będzie zawsze droga, będziemy winować cenę „Motorów” i temu podobnych tytułów, bowiem te książki pracują na lekturę szkolną, na niskonakładową literaturę piękną. Co zrobimy z zyskiem, już mówiłem. Dodam tylko, że w najbliższych miesiącach będziemy musieli podnieść stawki autorskie. Jaki będzie zysk w tym roku? Policzymy: wydamy 2 mln egzemplarzy czyli na jednym egzemplarzu zarobimy 3 złote, co da w sumie 6 mln zysku.

— Sejm zatwierdził decyzję o 25 proc. wzroście produkcji książek...

— Błędem byłoby stwierdzić, że o 25 proc. wzrośnie ilość tytułów. Założenie wstępne było takie, że ilość tytułów w Polsce wzrośnie maksymalnie o 10 proc., natomiast o 25 proc. wzrośnie ilość egzemplarzy. Jest to założenie słuszne, bo zawsze na rynku brakowało określonych tytułów. Ale u nas pokutuje przekonanie, że jeśli jakieś książki długo leżą na półkach, to jest w tym coś niedobrego. A właśnie książka powinna leżeć, czasem nawet przez 2-3 lata. Dotyczy to szczególnie książek, które nigdy nie mają szans na wznowienie. Książka naukowa, tak jest na całym świecie, leży w księgarniach do pięciu lat, aż się zdezaktualizuje. Przecież taką książkę kupuje niewielu ludzi, w latach, kolejnych sięgają po nią inni, którym staje się ona potrzebna. Niestety, u nas, nie mamy także zapasów książek. Na Zachodzie, gdy produkcja jakiejś książki ustaje, nie oznacza to, że książka natychmiast znika. Nie, tam ona jest jeszcze do wozona przez parę miesięcy z zapasów magazynowych. A u nas? Wychodzi książka i w ciągu kilku dni, a czasem godzin zostaje całkowicie sprzedana. I więcej się nie pojawia, chyba że będzie wznowiona.

— Proszę powiedzieć, w jakim sensie reforma i system samofinansowania zmienia plany wydawnicze?

— Żyję wydawcą byłby ten, kto by naginał swoje plany do zaistniałej sytuacji ekonomicznej. Oczywiście należy dokonać korektur. Natomiast jeśli wydawca będzie twierdził, że nie wyda jakiejś książki, gdyż jest dla niego za droga, świadczy to o tym, że miał on złą strukturę planu, że w przeszłości jego plan nie umiał zarobić na siebie. A myśmy zawsze zarabiali. Więc i dziś plan tytułowy nie ulegnie zmianie. Profiliowy także. Czy wydamy więcej? Tak, ale dopiero w przyszłym roku. W tym — 70 tytułów, w przyszłym — 85, a dopiero w 1984 osiągniemy zaczarowaną liczbę 100 tytułów. Jest to ostrożne planowanie, ale całkiem realne. Oczywiście, trzeba będzie zwiększyć zespół redaktorski. Jeśli przyjąć, że w całej Polsce obowiązuje 25 proc. wzrost książek, to my powinniśmy się ograniczyć zaledwie do 75 tytułów rocznie. Chcemy jednak osiągnąć sto! To więcej niż założenia ogólnopolskie. W zasadzie nie się nie zmienilo, novum jest książka dla dzieci, którą wchodzimy na rynek szerokim frontem. Tytułów będzie zaledwie 7, natomiast ukażą się one w nakładzie półmilionowym. To się liczy. Będzie to cykl dotyczący polskich legend, a więc „Lech, Czech i Rus”, „Wanda”, „O tym jak myśły Popieła zjadły” czy też „100 przysłów na trasie podróży w czasie”. Natomiast dla młodzieży zamierzamy rozpocząć wydawanie książek historycznych, co nie może nam oczywiście przeszkodzić współczesności.

— Ale pozostaje jedna dziedziną, która nie ma uznania w naszej oficynie. Myślę o krytyce...

— Jest to zjawisko trochę dziwne: mamy uniwersytet, mamy środowisko twórcze, mamy prasę, ale nie mamy krytyki literackiej. Po prostu nie mamy żadnych propozycji. Jest to fakt smutny i zastanawiający. Nie ma polemik literackich, nie ma fermentu, ścierania się poglądów. To, co ukazuje się w prasie, są to grzesznościowe recenzje i zwykłe potakiwanie.

— Ostatnie pytanie: czym jest Wydawnictwo Łódzkie? Czy prowincjonalną oficyną, czy wydawnictwem literackim?

— Kiedy przychodziłem do wydawnictwa, marzyłem, by stworzyć oficynę czysto literacką. Nie łódzką, nie zaściankową, prowincjonalną. Zwyczajnie: ogólnopolską. Ale przez te lata ten profil nieco się zmienił, rozbudował. Przecież jesteśmy w tym mieście jedynym samodzielnym wydawnictwem. Stąd nasze świadczenia usługowe. W Warszawie kolejarze mają swoje wydawnictwo, wojsko swoje, naukowcy swoje. U nas wszyscy przychodzą do mnie. Ale zapewniam: 2/3 tytułów to literatura piękna. Co prawda, zdajemy sobie sprawę z faktu, że nie wszystko co wydajemy, to literatura najwyższego lotu. Ale tak jest w każdym wydawnictwie. Sądzę, że należy wydawać wszystko, co osiąga próg wydawalności. Dopiero wówczas wyrażnie rysują się na tym tle arcydzieła książki o najwyższych wartościach poznawczych, humanistycznych i literackich.

Tyle dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego. Jest to optymistyczny prognostyk do tragicznej sytuacji polskiej książki. Pomału odbijamy się od dna, teraz trzeba szybko wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć świeżego powietrza, zacząć wielką podróż po oceanie naszej codzienności. Na książkę czekają miliony czytelników, aby było jej pod dostatkiem jak chleba. Bowiem chleb i książka są podstawowymi artykułami, bez których nie można egzystować.

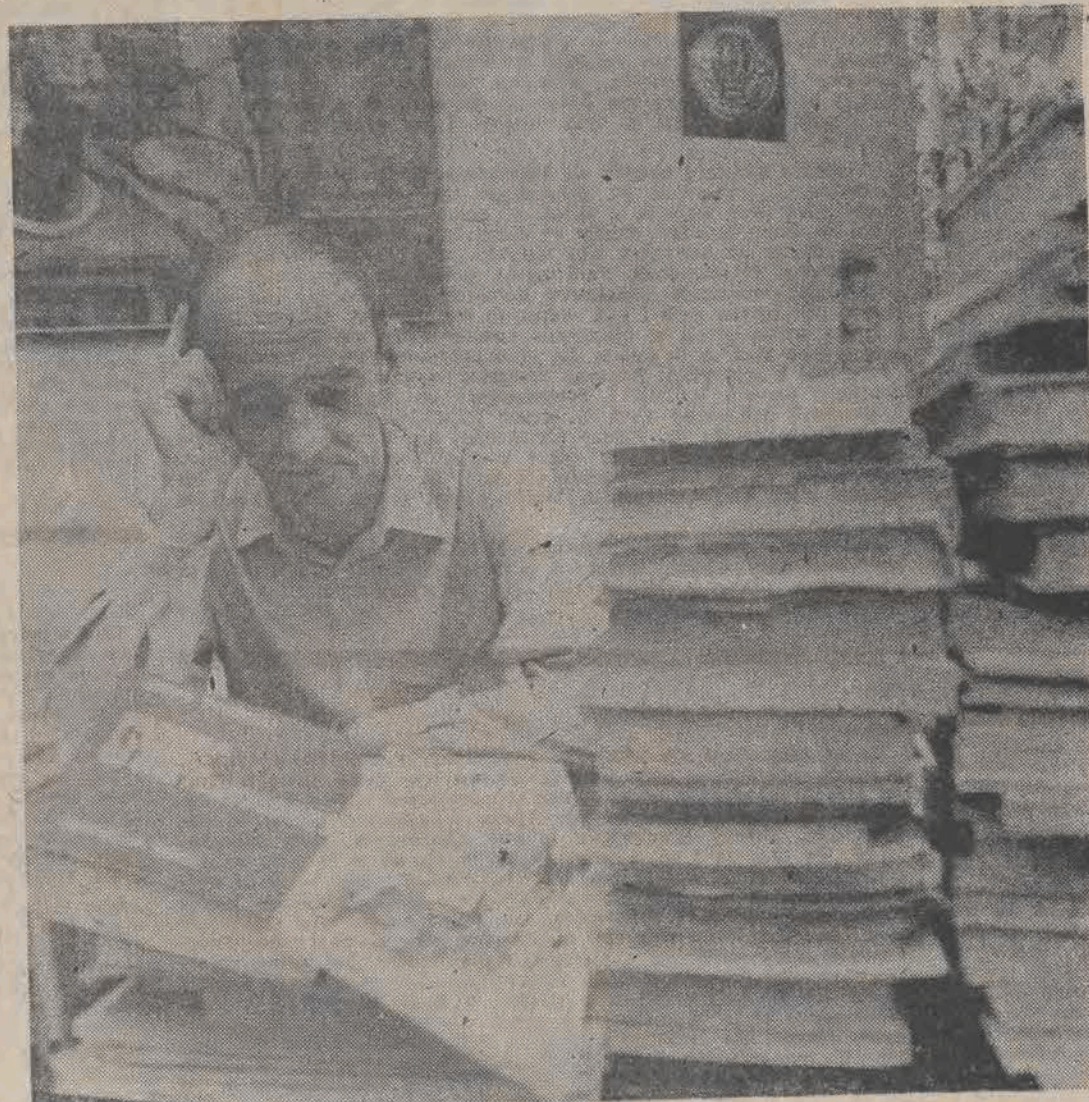


Foto: Janusz Kubik

Uwagi o teatrze lalek

Spróbujmy porównać widowisko laikowe z dramatem wystawianym w „normalnym” teatrze, bowiem bardzo bliskie jest powinowactwo teatru lalek i teatru żywego aktora.

Historia obydwu sięga jednakowo głęboko w przeszłość: ponad dwa tysiące lat. Niektórzy badacze twierdzą nawet, że człowiek od lalek nauczył się aktorstwa, że laika pierwsza funkcjonowała na zasadach imitatora rzeczywistości. Ale nie jest to całkiem pewne. Warto natomiast przypomnieć genezę laiki jako takiej, laiki, która od początku (nim jeszcze stała się ozdobą i dzieckiem zabawką) była przedmiotem kultu. Przypuszcza się, iż jej kultowe pochodzenie wywodzi się z animowanej rzeźby sakralnej. Imponujące jest zainteresowanie, jakim laika była darzona na przestrzeni dziejów; począwszy od Platona i Arystotelesa, poprzez Horacego, późniejszego Cervantesa, dalej Swifta i Woltera, aż po Goethego — wszyscy poświęcali trochę miejsca teatrowi lalek w swych utworach i pracach. Funkcjonowanie laiki jako „narzędzia” teatralnego datuje się od czasów antycznych: wykorzystywano ją wówczas w widowiskach o tematyce obyczajowej i satyrycznej, gdzie „występowała” na zmianę z mirmami. A więc jej rozwój w sensie teatralnym przebiegał równoległe z rozwojem teatru żywego aktora, którym szczyliła się przecież starożytna Grecja. Śledząc dzieje teatru lalek dostrzegamy, że jego związek z teatrem żywym jest daleko ściślejszy niż można by przypuszczać; tak samo wygląda w obu wypadkach następowanie po sobie kolejnych epok, mieszanie się stylów i powstawanie kanonów koncepcyjnych. Laika wspomaga przedstawienia średniowiecznego mima. Następnie obserwujemy jej użycie w misteriach. (Do dziś zresztą przetrwały relikty misterium laikowych np. pasyjnych, a dodać należy, że i bożonarodzeniowe szopki wywodzą się również z tego typu widowisk). Ekspansja commedie dell'arte była następnym etapem współdziałania laiki z żywym aktorem, ale też wtedy zaczęło się rysować w technice odwróconej coraz większe zróżnicowanie między nimi. W sztukach angielskich komediantów laiki nadal goszczą na scenie obok aktorów, przy czym znane są historyczne przykłady wspólnoty repertuarowej i widowiskowej teatru lalek i teatru żywego aktora. Tak będzie zresztą i później. Dopiero wiek XVIII przynosi rozdzielenie teatru na dwa osobne nurty. Uważa się, że jedną z przyczyn była sytuacja ekonomiczna „placówek” teatralnych, po prostu żywy aktor zawsze był bardziej wymagający i lepiej płacony niż laikarz, którym w ostateczności mógł być człowiek tylko fragmentarycznie znający tę pracę. Ze względu na niski stosunkowo koszt utrzymania i wyposażenia sceny kukielkowej wiele zespołów i objazdowych trup teatralnych pozostaje przy niej. Jednak w dobie silnego rozwoju scenopisarstwa i opery, laika

nie jest w stanie zainteresować dworów i klas uprzywilejowanych, toteż albo emigruje się z nią poza większe ośrodki kulturalne, albo też przedstawia się ją wyłącznie dla miejskiej gawiedzi, która nawykła przez lata do odbioru takich spektakli. Nic też dziwnego, że doprowadza to wkrótce do pewnej stabilności artystycznej; brak samodzielności repertuarowej i wyłącznie własnych środków wyrazu osłabia teatr lalek i sprawia, że pozostaje on na poziomie z przełomu XVII i XVIII wieku aż do pierwszych lat naszego stulecia. Dopiero na ostatnie pięćdziesiąt lat przypada burzliwa ewolucja laikowej sceny — zyskuje ona wielu wybitnych twórców, którzy swymi pomysłami unowocześniają formułę tego teatru, przyczyniając się tym samym do wzrostu znaczenia artystycznego widowisk.

Dzisiejszy teatr lalek, nawiązujący do wielowiekowej tradycji, korzysta z wypracowanych uprzednio sposobów organizacji i realizacji widowisk. Oczywiście, scenografia jest tu dla centralnych elementów scenicznych, najczęściej będących nośnikami fabuły — dla lalek. Używanych rodzajów lalek jest pięć: marionetka, pacynka, jawa, kukielka zwana także kuklą oraz laika cieniowa. W wielu wypadkach przestrzega się zgodności rodzajowej w jednym widowisku, ale nie jest to sztywną regułą. Tym bardziej, że zdarza się często (a najczęściej w awangardowych teatrach lalek), iż „grają” przedmioty nie przystosowane, pozbawione możliwości animacyjnych.

Rodowód teatru lalek wskazywał na jego plebejski charakter, szczególnie w końcowej fazie rozwoju (XVIII w.), kiedy to postępujące zróżnicowanie doprowadziło do oddzielenia się od teatru żywego (serwowano wówczas kukielkowe parodie komedii i opery włoskiej). Był jednak teatr lalek w pewnym sensie sztuką ludową, i częściowo nią pozostał. W momencie skierowania się sceny laikowej w stronę mniej wymagającej, niewyrobionej artystycznie publiczności, przedstawienia laikowe zyskały aspekt powszechności — były sztuką dla ludu. Zatem idąc za Arnoldem Hauserem, który — ogólnie rzecz biorąc — dzieli sztukę ludową na twory „produkowane” przez lud i twory przeznaczone dla ludu, dochodzimy do przekonania, że teatr lalek służył zaspokojeniu istniejącego przez dłuższy czas głodu „normalnego” teatru u warstw upośledzonych.

Nie da się ukryć, że i aktualnie pod większością względów teatr laiki przegrywa rywalizację z teatrem żywego aktora, a na pewno jedną tego przyczyną nie jest powojenne wyrównanie społeczno-kulturowe. Nie wyjaśnia sprawy także tłumaczenie takiej sytuacji zapotrzebowaniem na teatr aktorski, wszak znaczący byłoby, że całkowicie wyczerpuje on popyt na teatr w ogóle. W pojęciu „teatr w ogóle” — trzeba to koniecznie zaznaczyć — zawierała się dwa osobne nurty teatralne: aktora oraz laiki, a także inne jeszcze widowiska typu teatralnego. Trudno jednak dać autorytatywną odpowiedź; wszystko wskazuje na to, że na pewnym etapie — być może był to wiek XIX, być może XX — zbyt pochopnie przeprowadzono rozróżnienie stwierdzając, że teatr lalek jest niedoskonałym powieleniem „prawdziwego” teatru. Taki był prawdopodobnie początek. Później mimo wysiłków i zmian na lepsze nie udało się już odzyskać dawnej społecznej rangi dla sztuki kukielki i marionetki. Reszty dopełniły zmiany repertuarowe: teatr lalek zaczął „przestawiać się” na inną widowiskowość. Tą widowiskowością miały być dzieci. Otrzymały one teatr laikowy nie w wyborze właściwym, ale raczej z konieczności. Po prostu zapanowało paradoksalne przekonanie, że w dobie szybkiego podnoszenia się poziomu kulturalnego społeczeństwa (od tego momentu mówię o sytuacji w Polsce) dzieci osiągnęły

stopień przystosowania do odbioru sztuki właśnie laikowej w szczególności, natomiast dorosły widz „swoją” teatr ma znajdować w teatrze żywego aktora.

To prawda, że wystawianie widowisk specjalnie i niemal wyłącznie dla dzieci, dzieci — jak to się określa w założeniach poszczególnych programów — młodszych lub starszych, może w konsekwencji okazać się zjawiskiem pozytywnym, dlatego, że poza pokrywaniem zapotrzebowania ze strony najmłodszych, kształtuje taki teatr specyficzny typ wypowiedzi scenicznej; prawdą jest, że dziecko jest bardzo wdzięcznym widzem, przeżywa każdy spektakl niezależnie od jego obiektywnych wartości, ale trzeba otwarcie powiedzieć, iż dziecko to odbiorca stawiający inne wymagania. W wielu krajowych teatrach poziom artystyczny jest niski, a pracę laikarza traktuje się niejednokrotnie jako pospolitą chałturę.

Teatr laiki i teatr żywego aktora ze wspólnej wywodzą się tradycji, i przez szereg epok przyswajano im te same prawa: tym boleśniej jest fakt, że w chwili wielkiego renesansu żywej sceny, laika jako aktor straciła poważanie społeczne. A przecież była w swej strukturze, w swej istocie, i jest nadal, sztuką przeznaczoną dla wszystkich bez wyjątku, zrozumiałą bez względu na wiek, pieć i wykształcenie.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dynamiczne pięści mistrzów kung-fu

PROSTO Z KINA

W samo południe. Upalnie. Na najbardziej „niechodliwym” seansie — nadkompleti! Tego jeszcze nie widziałem, choć od wielu lat chodzę do kina. Ludzie są spragnieni atrakcyjnych, a przede wszystkim nowych filmów i jawnie demonstrują swą postawę. Stoją w wielogodzinnych kolejkach — tylko po to, żeby zobaczyć „Wejście smoka”. Wrócić nie potrzeba. Widać, jak na dłoni, że egzotyczny obraz z Hong-kongu pobija wszelkie rekordy popularności.

Pisanie o tym filmie — dobrze czy źle, bez różnicy — jest zajęciem cokolwiek bezsensownym. I tak wiadomo, że każdy kinoman (a wielu ich w naszym kraju) wyda 120 zł, żeby zobaczyć Brucea Lee i jego kolegów. A zatem — dlaczego sięgnęłam po pióro? Z wewnętrznej potrzeby — przeżyła tego jeszcze raz — wywołałam z pamięci:

- * wyspę, otoczoną mgłą tajemnicy, strzeżoną przez szkołę kung-fu
- * potężnego, tajemniczego władcę, uosobienie zła, podejrzanego o produkcję narkotyków
- * i tego, który w imię dobra, przybywa by zwyciężyć
- * koloryt Dalekiego Wschodu
- * piękne kobiety
- * rewelacyjne zdjęcia
- * wspaniałe pokazy walki kung-fu
- * znakomita obsada z niedoścignionym mi-

strzem kung-fu — Bruceem Lee.

Cytat zaczerpnięty z reklamówki wydanej przez Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Łodzi (czy było to potrzebne?) wypukła wyrażenie elementy, które decydują o powodzeniu filmu u publiczności: formuła baśni, krajobraz Dalekiego Wschodu oraz mistrzowsko zainscenizowane walki kung-fu.

Baśń. Zastosowano klasyczny schemat. Kryształnie czysty duchowo bohater obarczony zostaje misją — ma dostać się do królestwa Hana — królestwa zła, aby je zniszczyć i uratować przed zagładą niewinnych: dziewczęta zniewalane narkotykami oraz siłą ściąganych na wyspę i tu uwieczonych dla... no właśnie jakich celów? (tego film nie wyjaśnia, zresztą nie jest to najistotniejsze) ludzi z ładu. Bohater ma też osobisty powód, żeby podjąć się wykonania tego zadania. Oto wysłannicy „królestwa” doprowadzili do samobójczej śmierci jego ukochanej siostry. Misja jest niebezpieczna. Przeszkody piętrzące się na drodze do celu są coraz trudniejsze do pokonania. Bohater musi wykazać się nie lada jakimś zaletami (głównie fizycznymi), aby podjąć i kontynuować walkę. Ale przecież w końcu w myśl reguł gry, reguł gatunku, wysłannik dobra zwycięży!

Samotny człowiek toczący zwycięski pojedy-

nek z potężną machiną zła — ten uproszczony do granic prostoty schemat od wieków fascynuje ludzi, potwierdza w nich humanistyczne poczucie wartości, godności, wyjątkowości pojedynczego człowieka w obcym, niezrozumiałym, strasznym, swym brakiem logiki, świecie. Jest przyciągający, bez względu na kontekst czasu i miejsca.

Krajobraz. Pocztówkowo-hollywoodzki. Sielankowy wizerunek wschodniej egzotyki — nawet wodne slumsy Hong-kongu mają swój urok. Nie przeszkadza nam to przecież uwierzyć, że nareszcie zobaczymy wyspę — cel naszych, pobudzonych wyobraźni i marzeń — dalekich, tajemniczych, młodzieńczych (czy tylko?) podróży. I zamek — lekkością, innością architektonicznej konstrukcji, daleko odbiegający od naszych europejskich kanonów. I uroda — pełna wschodniego przepychu, ruchu, fantastycznych potraw, pięknych dziewczyn o skłonnych oczach. Czy nie jest to wciągające?

Walki. Najważniejszy element filmu, któremu podporządkowane są wszystkie pozostałe. Dochodzi do paradoksalnej sytuacji — w sali kinowej publiczność reaguje tak, jak na zawodach sportowych. Poszczególne pojedynki są głośno komentowane, oklaskiwane. Chwali się szybki unik i błyskawiczny kontratak. Patrzy z uznaniem na mistrzowsko przeprowadzoną akcję: dwa zwody ręki połączone z odpo-

wiednim balansem ciała i nagły powietrzny, iście baletowy, atak nogami. Dech w piersiach zapiera sprawność fizyczna szczupłego, ale jakże zwinnego Lee i jego potężnych, herosopodobnych przyjaciół i wrogów. Tak, dla nikogo nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z arcy mistrzami tego sportu.

Reżyser filmu — Robert Clouze i reżyser poszczególnych walk — Bruce Lee doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że pierwsze — dynamiczne pięści są niezaprzeczalnym atutem filmu, po drugie — mając takich zawodników aktorów trzeba zaprezentować wszystkie ich umiejętności. Rezultat przechodzi nasze najśmielsze oczekiwania. Każdy pojedynek jest jedynym w swoim rodzaju popisem sportowego mistrzostwa. A finałowa rozgrywka w niesamowitym gabinecie luster wymaga, tak od przedstawiciela dobra, jak i zła, nie tylko fizycznych umiejętności, ale również inteligencji.

Zwolennicy filmów rozrywkowych, widowiskowych wychodzą z kina usatysfakcjonowani. Dostarczono im tego, czego chcieli: emocji, zabawy i chwilę zapomnienia. Być może wrócić tu raz jeszcze, żeby ponownie utożsamiać się z postaciami kowbojów Wschodu i znów przeżywać ich — swoje przygody.

Miłośnicy Bergmana, Felliniego, Altmana — refleksji, zadumy, perfekcyjnej gry aktorskiej, wychodzą z kina kręcąc sceptycznie głowami: „Bruce Lee? Nie ma się czym zachwycać. Cóż z niego za aktor. A cała filofilia filmu stanowi suchy chrest taniych kości. Tworzy komercyjny produkt, obliczony na łatwy pokłask, dający jedynie potężną porcję sportowych popisów”.

Muszę przyznać przecież, że tych rozczarowanych i niezadowolonych można było policzyć na palcach jednej ręki.

PAWEŁ STRZELECKI

Dokąd panu tak spieszą?

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Odnotowuję fakt wystawy prac Andrzeja Gruna z podwójną przyjemnością, chociaż w gruncie rzeczy wystaw recenzować nie lubię. Głównie z powodu nader osobistego podejścia do pokazywanych na nich prac, co znacznie utrudnia ich obiektywną ocenę, czego — jak sądzę — na ogół czytelnik oczekuje. I w tym wypadku nie będą to chyba takie typowe, recenzentkie uwagi, zaś co do przyjemności, są one — jakby rzecz — trochę pozaartystycznej natury.

Wieleletni, doświadczony współpracownik „Ogłoszeń” przypomniał mi „czytelnikom”, jako twórcę szerszych plastycznych penetracji, niżby to mogło wynikać z drukowanych na

różnych łamach rysunków. A to, siła chyba tradycji, wciąż jeszcze artystę w oczach odbiorcy jakby nobilituje. Wielu też czytelników zapewne z zainteresowaniem przyjmie fakt, iż znany głównie z felietonów i komentarzy na tematy plastyczne, ale nie tylko, że nie wspomnę o „damach”, autor jest również czynny na polu tejże właśnie plastycznej twórczości.

O teście „Gole damy na łamy” wspominałam nieprzypadkowo, podejrzewam bowiem, że pan Andrzej ma do dam szczególne upodobanie, które i w grafikach pokazanych na wystawie jakoś się również, nie wiem czy celowo, ujawniły. To upodobanie pod-

suwa mi niejako wątpliwości. Mianowicie, czy jest ono zainteresowaniem formami zewnętrznymi, czy też konstatacją pustki wnętrza. Gdyby bowiem to drugie... hm... Dajmy jednak pokój takim dygresjom, jako że cisną się inne uwagi. Lepiej — mimo pewnych niedoskonałości druku — przyjąć za wartość katalogu, niż samą wystawę. Wynika to być może z faktu, iż czuję się w salonie przy ul. Piotrkowskiej jak jeszcze jeden eksponat co nie sprzyja należytej kontemplacji. Zauważyłam jednak, że pan Andrzej ma dużą sprawność w komponowaniu układów na płaszczyźnie, preferuje przy tym kompozycje statyczne, co czasami kłóciło mi się z tres-

cią pracy. Mogę jednak być w błędzie, gdyż nie wykluczam powierzchowności tego wrażenia. Przypuszczam również, że autor ma dużą łatwość w prowadzeniu ręki, co może spowodować zbyt niwielkie w pracy i zagubienie koniecznego momentu autorefleksji. Znow jednak to tylko wrażenie, przypuszczenia... A może nawet sugestie prezentacji z katalogu, z której to autor jawi się jako bardzo wszechstronny twórca.

Takie teksty lubią pisać figle. Napisał Pan, że nie znajduje żadnych racjonalnych przesłanek, które by tłumaczyły uprawianie sztuki, i że dlatego właśnie Pan ją uprawia. Czy dlatego, że tych racjonalnych przesłanek znaleźć się nie da, czy też dlatego, że koniecznie, szybko chciałby je Pan znaleźć w jakiejkolwiek dziedzinie. O słowną kokieterię Pana w tej dziedzinie nie posądzam.

KRYSTYNA
NAMYSŁOWSKA



Foto: Janusz Kubik

Śmierć higieniczna

Czas Michaela Knocksa dobiegał końca. Został mu już tylko sto pięćdziesiąt cztery dni życia, które zamierzał wykorzystać w należyty sposób. Ostatnie 100 dni, to okres życia „Intensywnego”. Oznacza to, że Mechanik Michael Knocks ma prawo do potrójnej porcji syntetycznego alkoholu i trzech państwowych kurew każdej nocy. Przez ostatnie dni pracuje tylko siedem godzin dziennie w odróżnieniu od normalnego dnia roboczego, który trwa 14 godzin. Dokładnie dnia 15 sierpnia 2523 roku o godzinie 19.23 Michael Knocks zgłosił się do punktu „bezbolowego uśmiercania”, gdzie poraża jego ośrodek mózgowy falą dźwiękową o olbrzymiej częstotliwości. Michael nie poczuje. Jego życie zgaśnie w cudownie czysty, higieniczny sposób. Następnie ciało Mechanika zostanie sprawdzone pod względem przynależności tkankowej, dokładnie opisane i umieszczone w zbiorniku wypełnionym płynnym azotem. Michael będzie umierał z uśmiechem na ustach, gdyż na parę chwil przed śmiercią przeczyta wywieszone nad drzwiami punktu hasło:

„TWOJA ŚMIERĆ — DOBREM INNYCH”.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Michael kończył kolejny dzień „Intensywnego życia”. Za godzinę miała przysię przysięgiowa dziwka. Knocks myślał. Myślał o Ziemi dręczonej przeludnieniem i głodem. Wyzutej z wszelkich praw, zjadającej jak stara, zużyta prostytutka.

Myślał o grupie uprzywilejowanych — o inżynierach i politykach. Tylko oni otrzymywali większe przydziały jedzenia, kawy, wódki i papierosów. A jednak największym ich przywilejem było życie — życie trwające do naturalnego końca. Tego zazdrościł im w nocy, we dnie, w pracy i gdy był z kobietą.

Dzwonek. „To ona” — pomyślał Knocks i leniwie zwiłkł się z łóżka. Otworzył drzwi. Na progu stała kobieta lat około czterdziestu, ze śladami minionej urody na twarzy. „Przysyłają coraz gorzej” — mruknął pod nosem zniechęcony.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Jak dla ciebie, Carol — powiedziała i zaczęła się leniwie rozbierać.

Mijała dwudziesta piąta noc „Intensywnego życia”.

Obudził się o siódmej. O 8.00 zaczynał pracę w zakładach. Umył się, ubrał. Wypił potrójną whisky, zabrał narzędzia i wyszedł. Szedł długimi, brudnymi ulicami. Szedł przez place i skwery. Co krok spotykał zadreżonych ludzi z beznadziejnym wyrazem w oczach oczekujących śmierci.

Byli to robotnicy, ludzie mający zbyt niski status społeczny, by móc korzystać z używek życia intensywnego.

Na rogu 10 Street i 15 Avenue Knocks wsiadł do pasażerskiego poduszkiowca. Za pięć osma był w Fabryce. Pracował jako konserwator centralnego systemu komputerowego zakładów. Miał w dziale kolegę o nazwisku Fray. Fray był biednym fanatykiem, bez zastrzeżeń wierzącym w prawość systemu. Jego czas nadszedł drugiego czerwca. Umierał z uśmiechem na ustach.

Knocks wyszedł z pracy o piętnastej trzydziści. Przedtem w zakładowej stołówce zjadł śmierdzącą potrawę o nazwie Caldion. Jak zwykle w środy, do Michaela uśmiechała się wyzywająco jedna z kucharek. Była to brzydka, tłusta kobieta i lekko na nią patrzył brało go obrzydzenie.

W bramie spotkał Platnera — technologa zakładów. Platner pełnił oprócz tego funkcję społeczną. Był skarbnikiem, odpowiedzialnym za pobieranie opłat na rzecz obchodów święta narodu.

— Knocks, nie opłaciłeś składek — upomniął Michaela.

— Zostało mi tylko 50 dni, Platner. Jak łatwo obliczyć uśmierca mnie 15 sierpnia. Wobec tego nie będę miał dosłownie nic z naszej szacownej uroczystości. A teraz odpieprz się ode mnie i spływaj!

— Chciałem ci tylko przypomnieć, że za niezapłacone składki grozi ci dawką 3-stopniowego cierpienia przedśmiertnego. Ty niszczysz ład, Knocks. Ład tak ciężko wypracowany. Ład — to demokracja, Knocks. Pamiętaj o tym.

— Czy nie rozumiesz, ty draniu, że już nie żyję, że jestem trupem zanurzonym w azocie. Mam gdzieś te twoje uroczystości, składki, ład i ciebie, Platner — rzekł Knocks i odszedł.

Tomasz Lipowski. Urodzony w Warszawie w 1965 r. Jest uczniem XXXVIII Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie. Członek SFAN-CLUBU, jeden z założycieli grupy TRUST.

Utwór publikowany poniżej jest jego debiutem wydawniczym. Mimo dających się zauważyć pewnych niedostatków warsztatowych, opowiadanie, które należy

Minęło dalszych dwadzieścia pięć dni intensywnego życia. Michael punktualnie przychodził do pracy i punktualnie z niej wychodził. Nawyk punktualności wykształcił się u niego w ciągu 35-letniego życia z olbrzymią dokładnością. Robotnicy i specjaliści nie mogli bowiem zmieniać miejsca pracy. Istniała wprawdzie możliwość napisania podania do władz administracyjnych o zmianę miejsca zatrudnienia, było to jednakże bezcelowe. Podania na ogół pozostawały bez odpowiedzi, a na dodatek we wszystkich zakładach i fabrykach place były takie same. Tego dnia — 21 lipca, Michael wybrał się na spacer do jednego w mieście parku. Gdy znalazł się poza bramą, ujrzał dziesiątki kopulujących par. Przy pobliskim drzewie siedział starzec z błogim uśmiechem wpatrujący się w niebo.

— Co tu się dzieje? — spytał Michael.

— To meszjasz miłości zszedł na Ziemię, by odkupić grzechy nasze. A to są jego apostołowie — wskazał kopulujące pary i przymknął powieki. — Tak, tak, to meszjasz. I wiesz, on nie znosi przeszczepów.

Czas mijał nieubłaganie. Knocks patrzył na morze. Było spokojne. Równe i brudne, jak jego życie. Czuł smród sunący od zatoki. To gnily ścieki pośród których pływały ludzkie bebechy, niezdatne do niczego: kości, żyły, flaki, jelita. Wszystko gnilo, ścigając nad zatokę tysiące owadów i spów.

Jeszcze cztery dni. Cztery dni „Intensywnego życia” i koniec.

Subtelna fala dźwięku omiecia obnażony umysł i stworzy następny materiał przeszczepowy. „Kto dostanie przeszczep? — myślał. — Jakis zasrany polityk lub inżynier. Dostanie moje płuca, serce, nerki. Nie, nie chcę zdychać. Nie chcę być pokarmem dla innych. Chcę żyć, żyć, żyć!!!

Podczas ostatnich dwóch dni Knocks wiele zrozumiał. Robotnicy i konserwatorzy żyli, by zapewnić swym organom maksimum rozwoju. Stanowili wielką hodowlę. Ich narządy były najcenniejszym

skarbem w dobie, gdy szalała choroba popromienna, rak i epidemia zawleczona z jakiejś tam planety. Powoli w jego umyśle zaczęła kiełkować nieśmiała myśl: „Uciec. Uciec przed siebie, przez rzekę, a potem do lasu. Drogę zagradzają automaty. A może ukryć się w mieście? Iść do jakiegoś burdelu lub usiąść na rogu i czekać, aż wyrośnie mi broda. Został mi tylko jeden dzień”.

Włożył stare podarte ubranie, podrapał się po centymetrowym zarostcie, wypił jedynym haustem pół butelki syntetycznej whisky i wyszedł z mieszkania.

Wmieszał się w tłum. Przysiadł gdzieś na rogu i czekał. Do wyznaczonego terminu pozostały już tylko cztery i pół godziny. Czekal. Myślał o życiu jakże niedziwnym, wypełnionym wodą, dziwkami i nudną pracą. Ale chciał żyć. Gorące pragnienie życia rozrywało niemal jego drżący umysł. Spojrzał na zegarek: dziesięć minut po terminie! „Właściwie mogli o mnie zapomnieć” — pomyślał. Popatrzył na niebo. W błękitie wily się gęste, białe chmury, spośród których przeświecały promienie dalekiego słońca. Było ciepło. Ciepło jak wtedy, gdy matka zaprowadziła go do punktu ewidencyjnego. Miał siedem lat. Lekarz wystrzygił mu włosy na potylicy i wytatuował numer ewidencyjny. Następnie położył się z matką. Pamiętał tylko jej smutne, duże oczy, w

zaliczyć do kategorii antyutopii, warte jest przeczytania. Charakterystyczne jest duże zaangażowanie emocjonalne i osobisty stosunek do opisywanych problemów etycznych i moralnych.

których na moment pojawiły się lśniąco krople.

Pamiętał szkołę, w której się znalazł. Pamiętał dni, podczas których uczono go zawodu i ideologii. Pamiętał przysięgę wierności wobec kontyentu. Pamiętał dzień, w którym oddał swoją część spermy do banku „narodu”. Był wtedy dumny. Pamiętał dzień, w którym zapisał się do organizacji. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Pamiętał przysięgę dobrowolnej śmierci. Pamiętał. Pamiętał. Pamiętał...

Spojrzał w niebo. Zobaczył leniwie przesuwające się obłoki. Było ciepło. Jak wtedy... nagle usłyszał:

— No i co, Michaelu, znaleźliśmy cię jednak.

Szybko podniósł głowę i zobaczył nad sobą czystą, wypielegnowaną twarz oficera służby medycznej.

— Twoje zachowanie, Knocks, było irracjonalne. Przed nami nie można uciec.

Knocks leżał w czystej, białej sali. Był uwięziony. Usłyszał nad sobą monotony głos.

— Jak się czujesz... Michaelu. Bądź pełen optymizmu. Umierasz w służbie ludzkości.

— Odpieprz się, skurwysynu!!!

— Za chwilę umrzesz — powiedział „głos” — czy chcesz coś powiedzieć?

— Tak. Jak mnie znaleźliście?

— Czy pamiętasz badania kontrolne?

— Tak.

— A czy pamiętasz co ci wstrzykiwali?

— Chyba astrabinę.

— Zgadza się. Otóż w szpitalu umieściliśmy mikroskopijnej wielkości nadajnik organiczny. Byłeś przez cały czas śledzony, Michael.

Minęło około pięciu minut. Knocks był spokojny. Wreszcie usłyszał głos: „Michaelu Knocks, numer ewidencyjny 100123. Gotuj się na śmierć w służbie ludzkości”.

Zabrzącał buczek. Do sali wtoczyły się automaty medyczne. Knocks czuł, jak otwierają mu czaszkę. Żywy mózg pulsował niespokojnie i lśnił galaretowatymi zwojami. Lekarz skierował na środek mózgowie wiązki dźwięku i sprawdził odczyt na liczniku. Powiekszył moc. Knocks zamknął oczy. Nie otworzył ich więcej.

Widział ciemność. A pośród niej miliardy wydławan e-lektrycznych, między którymi przesuwał się obraz życia: młodość, dojrzałość, śmierć. Twarze znane i nieznane. Matka, ojciec, pierwsza kobieta. I nagle w mroku umysłu błysk ciemności doskonałej i nieporównywalnej do niczego. I spokój. Spokój chłodnej, mechanicznej śmierci z uśmiechem na ustach.

TOMASZ LIPOWSKI



Rys. Dariusz Wąż

Pierwsza warstwa pamięci

KIRYL BUŁYCZOW

Telefon zadzwonił o wpół do dwunastej. Pozwoliłem mu dzwonić dziesięć razy, mając nadzieję, że wreszcie się znudzi. Ktoś miał widocznie do mnie jakiś ważny interes. Nie jestem filantropem, ale jestem humanistą. Inni ludzie są mi obojętni. Bywam dobry dla tego humanisty, że tak jest łatwiej. Podniosłem słuchawkę i krzyknąłem coś do niej. Słowo, które można było traktować, jak się komu podoba.

— Giwi? — odezwał się telefon głosem Dawida. — Nie obudziliśmy cię, mam nadzieję?

— Obudziłeś.

— Tak też myślałem — ucieszył się Dawid. — Zaraz przyjeżdż do ciebie nasz samochód. Szef już jest w instytucie.

— Jestem niezmiernie zobowiązany. A co robi mój drogi szef w instytucie o dwunastej w nocy? Młodociani przestępcy rozebrali aparaturę, bo byli im potrzebne śrubki do Młodego Konstruktor.

— Nie pająkowi, Giwi — powiedział Dawid znużonym głosem. Zawsze mówią znużonym głosem, kiedy ja pająkuję. — To poważna sprawa. Samochód zabierze po drodze Rusiko, to chyba niedaleko?

— Obok. Wczoraj odprowadzałem ją do domu i jej ojciec, stojąc na balkonie, celował we mnie ze strzelby. A przecież sezon polowań jeszcze się nie rozpoczął.

Dawid odłożył słuchawkę, czym dał mi do zrozumienia, że nie pora na żarty. Postanowiłem nigdzie nie jechać. W mojej obronie staną wiązki zawodowe! Na wszelki wypadek, zacząłem się jednak ubierać. Tym właśnie, najwyraźniej uwidacznia się brak konsekwencji w moim postępowaniu. Na pewno wywodzi się to stąd, że wychowałem się bez ojca. Zwykle podejmuję ja-

kieś postanowienie i natychmiast zaczynam robić zupełnie na odwrót.

Nie zdążyłem jeszcze założyć marynarki, gdy pod oknem krótko szczyknął klakson samochodu. Jasne, mam gdzieś jechać i o wszystkim już za mnie zadecydowano.

Było zimno, jak to w lutym wysoko w górach. Rusiko była nie umalowana i pełna poczucia własnej wartości. Nie co dzień przecież, po instrumentariuszkiej przysyłają czarną „Wolę”.

— Rusiko — spytałem, usadowiwszy się obok niej — co się stało w instytucie?

— Nie wiem — odparła Rusiko takim tonem, jakby doskonale wiedziała, tylko nie była pewna, czy jestem dopuszczony do tajemnicy. — Wezwali mnie telefonicznie.

— Stamtąd? — spytałem, wskazując palcem sufit samochodu.

— Będzie operacja. To na pewno z powodu trzęsienia ziemi.

— Czego? Co to znowu za trzęsienie ziemi?

— Rano było trzęsienie ziemi — odezwał się szofer — w górach.

— A mnie o tym nie poinformowali — odparłem. — Na pewno o tym plotkowali, a kiedy wszedłem do laboratorium — ani słowa. A ja uwielbiam rozmawiać o trzęsieniach ziemi. Proszę powiedzieć, czy dziś w Tbilisi nie było przypadkiem wybuchu wulkanu?

— U nas teraz nie ma wulkanów — wyjaśniła mi przepiękna Rusiko. — Wulkany są na Kamczatce.

Przed instytuciem była istna Wieża Babel, zupełnie jak pod koniec dnia pracy. Stały samochody, biegali ludzie, w połowie okien paliło się światło.

— Trzęsienie ziemi przedłuża się — mruknąłem wychodząc z samochodu. Ogarnęli mnie najgorsze przeczuć.

Dawid i sam Lord Kipanidze stali pośrodku westybulu.

— Oto i Giwi — powiedział Lord i zwracając się do Rusiko polecił: — Natychmiast na górę, do operacyjnej. Zaraz tam będę.

— Przepraszam — powiedziałem — gdzie tu się mieści informacja? Chciałbym się dowiedzieć czegoś na temat mojej najbliższej przyszłości.

— Wyjaśnij mi — powiedział Lord i poniósł swoje ciężkie ciało na piętro.

Tylko w dwóch słowach — uprzedził mnie Dawid. — Wezwaliśmy mnie Paczulę, z Pogotowia Ratunkowego, znasz go? Nie? No zresztą nieważne, mają tam chorego, w szoku. Nie wiadomo jeszcze, czy wyjdzie z tego, czy nie. A tam przecież epicentrum wstrząsów. Dostępnym słabym zresztą.

Palce Dawida pokazały, jak malutkie było to trzęsienie ziemi. — Niemożliwe! — przestrzymałem się. — Takie maleńkie nie zdarzają się.

— W Tbilisi, w niektórych dzielnicach dzwoniły naczynia w kuchniach.

— To od miejskiej komunikacji — starałem się pocieszyć Dawida. — A zresztą co nas to obchodzi? Nie jesteśmy pogotowiem. Jesteśmy instytuciem naukowo-badawczym. Można powiedzieć — Instytutem Mózgu!

— Właśnie! Instytut Mózg. A Paczuła wie nad czym pracujemy. Był w lutym na konferencji w Kijowie. Szansa oczywiście mała, ale od tego zależy życie innych ludzi.

— Więc co wymyślił Paczuła?

Dawid spojrzał na okragły, elektryczny zegar nad schodami. — Zaczęło od początku. Dwie godziny temu na szosie, czterdzieści kilometrów od miasta został znaleziony niejaki Beso Guramiszwili. Znalazł go szofer ciężarówki i chciał odwieźć do szpitala na ostry dyżur, ale w tym momencie pojawił się samochód pogotowia górskiego. Właśnie go szukali.

— A dlaczego ratownicy szukali Beso? On jest alpinistą?

— Nie, speleologiem. Oczywiście, nie czytałeś. Ty nie czytasz przecież niczego prócz fantastyki. W zeszłym roku speleolodzy zaczęli badanie jaskini niedaleko od Telawi. Pisali o tym.

c.d.n.

Tłumaczenie:
EWA I DARIUSZ MILEPOCY

Dokończenie ze strony 1

przebywanie na wydmach jest zabronione, kopanie dołów w odległości dwóch metrów od wydm jest zabronione, przemieszczanie koszy jest zabronione, wprowadzanie psów jest zabronione... Gdy po raz nie wiadomo już który z rzędu odbębnia swoje: „Wypływanie na materacach poza żółte boje... — połowa leniwie smażących się w słońcu radośnie ryczy chórem: — jest zabronione!!!

Wygłaszane monotonna teksty to prawdziwa pożywka dla plażowiczów, temat rozmów i leniwych, wakacyjnych przekomarań. O, właśnie leci kolejny: „Pan Leon „ński proszony jest o przybycie na molo. Czekają żona”. I znów wszyscy chichoczą: — no, dopadła go mamuska! Tio! potężny, jeden „grajdoł” podobny do drugiego, to i pogubił się łatwo. A giną głównie dzieciaki; mamunia „łapie” słońce, malec odejdzie parę metrów i znów słyszymy: „Na molo znajduje się chłopczyk, lat około czterech, nazywa się Wojtuś, ma na sobie tylko czerwoną czapkę, rodzice lub opiekunowie...”. Bywają i chwile dramatyczne. Któregoś dnia poszukiwano 7-letniego chłopca przez cały dzień, jeszcze późnym popołudniem ohotniczo zebrana grupa przeczesywała plażę, posuwając się tyralierą zagładała w każdy kąt, przemierzała skraj wydm. Dzieciak się nie znalazł... Rodzice jakby bardzo zajęli się swoimi pociechami po tym wypadku, bo i komunikatów nie było. Ale bodaj że dwa dni tylko...

Zgłodniałeś, a drożdżowiczki i paczki a 20 złotych sztuka. Ci się znużyli? No to wyskakujesz w majtkach tylko na ciągnący się tuż za wydmami, równoległe do plaży, „deptak”, a tu już zaprasza Cię mnogość szyldów, reklam, barów, barków, budek, kiosków. Poszć bardzo, może rybka smażona — jest choćby sandacz, porcja — średnio „stowe”, są frytki, placiki ziemniaczane, gofry, fusty z piwkiem (komplet w granicach 70 zł), lody

nia, tam owoce i guma do żucia, tu smakowicie zalatuje wonną nototenią, wabią stragany z „pamiątkami z nad morza”. A automaty zrecznosciowe to nawet przed barem samoobsługowym poustawiali...

To już lepiej wybierz się na spacer plażą — jodu trochę złapiesz, muszelek dzieciakom w piasku poszukasz. Kwadrans spacerku w lewo i — jesteś na granicy państwa. O, tam dalej widać jakieś domki niemieckiej, nadmorskiej miejscowości. Wywołasz w pamięci smak zimnego „Radebergera” i — z powrotem, aż do portowego falochronu. Jak będziesz miał szczęście to może obejrzyś jak wchodzi do portu prom „Rogalin” czy „Wilanów” z dumnym napisem na burcie „Polferries”. Kursują niby regularnie, ale i bez lotnisk widać, że zbyt wielu pasażerów to się tam na pokładach nie kręci...

I to tyle atrakcji na dzień dzisiejszy, wytrząśnij piasek z kapci i lulu. Tak szybko to jednak nie zaśnie, bo właśnie w domu wczasowym obok odbywa się kolejna „balanga” i jeszcze wiele godzin będziesz słyszał, jak zdyszana orkiestra rżnie po raz setny przebieg tegorocznego lata, czyli „Kaczuski”!

— To jest naprawdę całkiem

NIETYPOWY SEZON

— stwierdza na początku rozmowy zastępca naczelnika miasta Swinoujście — pani Zdzisława Szczepańska. — Murowane będziemy mieli w ciągu czterech miesięcy ponad milion turystów i to wyłącznie rodaków, a przecież jeszcze w maju nie wiedzieliśmy nawet czy będą w tym roku wczasy, czy nie. Tak naprawdę, to pewnie byłyby tylko kolonie. Była wtedy już dokładna ewi-

dencja, wyliczenia ile potrzeba proszków, mydła, masła itp. i uwinęliśmy się z tym problemem szybko. W czerwcu mieliśmy wszystko dla maluchów przygotowane, zapłete na ostatni guzik i tu nas nie nie zaskoczyło. Nawet słodczyki miały dzieciaki w bród.

— Natomiast późno ruszyła handlowa sieć sezonowa — praktycznie w połowie czerwca. Toteż jak pan zapewne zauważył, sporo punktów jest zamkniętych na trzy spusty. Ale cóż, były przypadki, że proponowaliśmy agentom pensje w granicach 60 tysięcy złotych za trzy miesiące i nie było chętnych.

— Mimo jednak prawdziwego zalewu turystów nikt w mieście nie stracił głowy, na pewno przydała się wieloletnia praktyka. A dziś sezon biegnie już „z górki” mogą powiedzieć, że z zaopatrzeniem generalnie — o co wiele osób najbardziej się obawiało — nie było i nie jest źle. Jak wiadomo, wszyscy mogą realizować nieszczęsne kartki gdzie im się podoba i nie miałam sygnałów, by nawet najbardziej poszukiwanych artykułów reglamentowanych zabrakło. Co nie oznacza, że w sklepach jest na przykład pełen asortyment wędlin czy mięs. Z artykułami przemysłowymi, coż, jak w całym kraju — jest raczej nieciekawie. Nie ma jednak żadnych problemów z nabiałem, doskonale spisuje się mleczarnia w Wolinie, serwując stale kilka gatunków serów twarogów, topionych, nie brakuje masła, mleka, śmietany. Wielotgodniowe upały przetrzymała dzielnie wytwórnia wód gazowanych, dając normalne dostawy co dzień, choć były momenty, że brakowało im prozaicznych kapsli.

— Z ofertą kulturalno-rozrywkową jest niestety gorzej, tu już rutyna niewiele pomaga. Na szczęście przyszła nam w sukurs aura, bo też na brak słońca nikt nie może tego lata narzekać. Ale fakt faktem, taka warszawska „Syrana” nie popisała się, studenci z klubu „Kontrasty” obiecywali wiele atrakcyjnych imprez — skończyło się na dyskotekach, a wesołe miasteczko, choćby nie wiem jak wesołe, oczywiście satysfakcjonuje niewielu. Ale zapraszam w przyszłym roku — będzie lepiej.

Być może, ale w przyszłym roku zorganizujemy to inaczej: parę kilometrów od centrum, nad zalewem, czysta plaża (i pułst), są łódki, kajaki, są ryby i jest cisza. Wiadomo, ci pewnie, sprawdzone, tylko z realizacją trzeba będzie poczekać tych parę miesięcy. A nazwy miejscowości nie podam — na pewno ustawiliby tam automaty zrecznosciowe i całe noce słyszałbym za oknem te cholerne „Kaczuski”. Kto chce niech mnie szuka, ale uprzedzam: zamelinuję się w szuwarach, a w granicach miasta Swinoujścia znajduje się coś około 40 wysp i wysepek...

PS. Ponieważ Drogie Koleżanki i Koledzy przywożą z podróży po kraju najrozmaitsze wieści (zwykle niezbyt optymistyczne) dotyczące dystrybucji „Odgłosów” — śpieszę i ja ze stosowną informacją. Za Swinoujścia tygodnik generalnie dociera, choć w kilku kioskach w mieście (sprawdzone) w ogóle tego tytułu nie znają, natomiast na deptaku sprzedaje się całkiem nieźle. Jednak sympatyczna dziewczyna z MPiK-u, którą ledwie było widać zza stert gazet wszelkiej maści, oświadczyła smutno: — Leża, jak większość. Wie pan, cena. A poza tym dostaje tych kilkanaście egzemplarzy zwykle z miesięcznym opóźnieniem...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Za tydzień — kolejny reportaż z plaży, tym razem z plaży naturystów w Świdrach Wielkich pod Warszawą.

Tragedia wiązków

Czytając pracę Edwarda Potęgi pt. „Lasy turystyczno-wypoczynkowe województwa łódzkiego”, wydaną przez Ligę Ochrony Przyrody w roku 1956, natrafiamy na informacje o rezerwacie Jeżów, położonym we wsi Wygoda (dawny powiat piotrkowski, obecnie województwo piotrkowski). Autor podaje, że znajduje się tam fragment lasu składający się z drzewostanu wiązkowego naturalnego pochodzenia. Dowiadujemy się też o tym, że rezerwat wiązkowy Jeżów utworzono w roku 1953, na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Leśnictwa.

Dzisiaj na próżno szukałbyśmy podpiotrkowskiego Jeżowa w wykazie krajowych rezerwatów. Co się więc z nim stało?

Otóż okazuje się, że rezerwat Jeżów został formalnie zlikwidowany już w roku 1961, ponieważ większość tutejszych wiązków wymarła na tzw. chorobę holenderską. Epidemia ta, niszcząca wiązki, została po raz pierwszy opisana w dwudziestych latach XX stulecia w Holandii (stad jej nazwa). Jest to choroba spowodowana przez grzybek o nazwie *laccaria Graphium ulmi*, który roznosi korniki żywiące się drewnem wiązki, zwane chrząszczami okłódkami. Wspomniany grzybek, pasożytniczy w nasyciach wiązków, w ostatnich latach poczynił ogromne spustoszenie, niszcząc często całe drzewostany wiązkowe.

Jakkolwiek Edward Potęga sygnalizuje już w swej pracy o tym, że panująca powszechnie w Europie choroba holenderska wiązków, powodująca usychanie tych drzew, nie oszczędza i wiązków w Jeżowie, to jednak silniejszy atak tej choroby na jeżowski rezerwat nastąpił w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Choroba holenderska — obok strat spowodowanych w Jeżowie — zniszczyła także olbrzymią ilość wiązków w wielu innych wartościowych i pięknych obiektach leśnych czy parkowych Polski centralnej. Jako przykład znacznego spustoszenia, dokonanego przez tę chorobę w drzewostanach parkowych, może posłużyć krajobrazowy park w Skierniewicach, powstały w połowie ubiegłego stulecia, w miejscu dawnego par-

ku o charakterze francuskim, założonego przez Ignacego Krasickiego.

Wyniszczenie jeżowskich wiązków, spowodowane szalejącą wśród tych drzew epidemią, stanowi znaczną stratę dla naszej przyrody, gdyż na obszarze 5 ha tego dawnego rezerwatu rosły na naturalnym stanowisku wiązki w różnym wieku, z domieszką dębu, jodły, olchy, sosny i grabu. Wiązki występowały tu jako nałot w runie leśnym, znajdowały się w podrostach (obok innych gatunków drzew) i spotykało się też wiele starszych egzemplarzy, w obwodach pni osiagających 3 m. Świadcząco to o istnieniu na tym terenie odpowiednich dla wiązków warunków siedliskowych. Obecnie na obszarze dawnego rezerwatu Jeżów, leżącego w odległości około 10 km w kierunku południowo-zachodnim od Piotrkowa Trybunalskiego, jak i w okolicy chronionego niegdyś terenu, natrafiamy jeszcze na szereg okazów wiązków, których obwoły przekraczają niekiedy 3 i więcej metrów.

Przy okazji warto podać, że w Polsce dziko rosną trzy gatunki wiązków: pospolity (polny), szypułkowy (limak) i górski (brzost), dorastające do 30—40 m wysokości. Wiązki — drzewa nekane przez chorobę holenderską — są odporne na dymy, przeto mogą egzystować w miastach, nawet w tych, które posiadają dość znaczne zanieczyszczenie powietrza. Sadzi się je w parkach i stosuje do sadzenia z drzewień ze względu na piękno korony i szybki wzrost.

Wiązki posiadały i posiadają do dziś duże zastosowanie praktyczne. Dostarczają elastycznego, ciężkiego, spłostego i odpornego na niszczenie działanie wody drewna, wykorzystywanego do dawno do prac stolarskich (między innymi do produkcji mebli), bednarskich i kołodziejskich. Łyko wiązkowe używane bywa do wytwarzania rozmaitych plecionek, zaś kora barwi tkaniny na żółty kolor. Niegdyś z młodych, wiosennych liści wiązki przyrządzano żupę. Wczesną wiosną wszystkie gatunki wiązków dostarczają pszczołom znacznej ilości pyłku.

Paproć górską w Polsce środkowej

Jedną z krajowych paproci górskich jest paprotnik ostry (Polystichum lonchitis), rosnący na skałach granitowych i wapiennych, wchodzący na ogół w skład runa lasów górskich dolnołęgowych i górnołęgowych oraz runa kosodrzewiny. Miejscami należy on do roślin dość pospolitych na terenie karpaccim. W najwyższych partiach tego terenu — Tatrach — paprotnik ostry występuje od reguła dolnego po krańce alpejskie, natomiast bardzo rzadko trafia się w Gorcach. Na obszarze sudeckim spotykamy go nieczęsto. Jeżeli chodzi o tereny położone bardziej na północ, paprotnik ostry rośnie w okolicach Ojcowa i w lesie jodłowo-bukowym w Górach Świętokrzyskich.

Jako ciekawostkę przyrodniczą można podać, że górski gatunek paproci, którego najbliższe ziemiom środkowopolskim stanowisko — jak wspomnieliśmy — znajduje się na obszarach ojcowskich i świętokrzyskich, zawędrował na tereny środkowonadwarczańskie. Odnajdujemy go na Górze św. Genowefy (woj. sieradzkie), będącej najokazalszym ostańcem na prawym brzegu rzeki Warty. Na stromych, chropowatych i spekatych ścianach wapiennych występuje murawa skalna, na najbardziej północnym stanowisku w Jurze Krakowsko-Częstochowsko-Wieluńskiej. Paprotnik ostry rośnie tu na szczycie ostańca, w starym wyrobisku po eksploatacji kalcytu.

Dla tych wszystkich krajoznawców, turystów i miłośni-

ków przyrody ojcowskiej, którzy chcieliby odróżnić paprotnik ostry od innych paproci, podajemy krótką jego charakterystykę. Jest to roślina posiadająca liście zimotrwałe, pojedynczo pierzaste i wąskolancetowate, osiagające od 15 do 60 cm długości i od 3 do 6,5 cm szerokości. Są one skórzaste, sztywne, ciemnozielone, połyskujące i gęsto unerwione. Cienko zakończone nerwy wchodzą do ząbków liściowych, ale nie dochodzą do samego brzegu blaszki. Kupki zarodni powstają na wszystkich liściach w górnej połowie blaszki, tworząc dwa szeregi po 15—20 kulek z każdej strony, umieszczonych w połowie odległości między głównym nerwem a brzegiem blaszki. Zarodniki dojrzewają w sierpniu i wrześniu. Wówczas to kupki zarodni zlewają się, tworząc brunatną masę na liściu. Omawiana tutaj paproć ma krótkie, lecz dość grube kłace, w starszej części mocno ukożenione, pokryte nasadami ogonków, młodsze części są z licznymi brunatnymi łuskami. Paprotnik ostry jako roślina górską, która zawędrowała na interesujący pod względem krajoznawczym obszar środkowonadwarczański Jury Krakowsko-Częstochowsko-Wieluńskiej, godna jest poznania i — oczywiście — poszanowania przez zwiedzających ten teren turystów.

HENRYK
SZUBERT

Turystyczna oferta na wrzesień

Dokończenie ze strony 1

Słów kilka uzasadnienia: wrzesień jest tym miesiącem, kiedy mija już nawałnica turystyczna (nie bez racji nazywana tu mało eleganckim mianem — „stonka”), więc znacznie łatwiej w tym okresie o wyżywienie, noclegi, wolne miejsca na polu namiotowym, i wszystko to po znacznie niższych cenach, co obecnie także nie jest bez znaczenia.

Oto np. biuro turystyki w Pisz, na okres września obniża ceny swoich usług aż o ponad 30 proc. Podobnie czynią biura turystyki w Węgorzewie i Giżycku.

Gama oferowanych usług jest tu zróżnicowana, odpowiadająca różnorodnym gustom. I tak — w każdym z tych ośrodków możliwe jest jednocześnie — uprawianie sportów wodnych, wędkowanie, grzybobranie. W kilku możliwych są wczasy w siódle.

Gdzie woda, lasy, gdzie powietrze świeże...

A jeśli już tam będziecie, to warto przypomnieć sobie o historii tej ziemi, często krwawej i okrutnej, zawsze ciekawej. Z Giżycka, Węgorzewa i miejscowości tam położonych tylko kilkadziesiąt minut drogi samochodem (organizatorzy wczasów organizują wycieczki autokarowe) dzieli od Gierłowa.

Tam właśnie, w pobliżu Kętrzyna mieścił się osławiony „wilczy szaniec” — wojenna kwatera Hitlera. Trzeba tam pojechać koniecznie. Leżące w gruzach wielometrowe grube mury są wymownym symbolem tak niedawnej jeszcze epoki, która, na szczęście, jest już tylko historią.

Rzecz jasna, kwatera Hitlera jest do obejrzenia w każdym dowolnym miesiącu. Ale tylko we wrześniu możecie zobaczyć jak wygląda jesienna puszcza widziana z góry. Iż tam roztopionego w słońcu złota i burzyny, brzozy i wszystkich odcieni zieleni. Wiele jest takich punktów widokowych w całym województwie. Polecam szczególnie dwa — wiadukty w Stańczykach i Cisowa Góra koło Suwałk. To już jest, oczywiście, część wschodnia województwa. Stańczyki sławne są potężnymi wiaduktami kolejowymi (dziś nieczynnymi), przez które szła linia kolejowa do Królewca. Dla turysty ważne jest i to, że w pobliżu znajduje się piękny i wygodny zajazd, a w nim całkiem dobre wyżywienie. A jeśli ktoś chciałby pokusować konno puszczańskimi szlakami, to konie także są do dyspozycji.

Podobne monumentalne wiadukty, w równie wspaniałym otoczeniu, znajdują się na tej samej trasie kolejowej w Kiepcach i Bokunach.

Cisowa Góra, wyniosły stożek położony kilkanaście kilometrów od Suwałk. Warto się na szczyt tej góry wdrapać, bowiem widok, jaki z niej zobaczycie wynagrodzi wszelkie trudy. W dole, wśród różnobarwnych, z przewagą ciemnej zieleni, lasów rozciąga się łańcuch podgórski krajobraz. Z tą przewagą, że tu nie tylko pagórki, ale i kilka jezior. A wśród nich prawdziwa perła — Hańcza, największe jezioro Polski.

Jeśli tam będziecie, to na pewno zauważycie potężne wieże wiertnicze. Tak, tak, to tu właśnie, w tym zakątku, który dla wielu jest najpiękniejszym w Polsce, zlokalizowała natura bogate złoża rudy i innych cennych minerałów. Kiedyś ten krajobraz będzie inny, już nie taki dziewiczy i nie tak, niestety, piękny. To „kiedyś” nie jest tak odległe. Warto się pospieszyć.

Z Cisowej Góry już tylko mały krok do Sejnu. Ciekawa to, w dużej mierze zamieszkała przez ludność litewską, miejscowość. Sporo tu zabytków wielkiej klasy, a wśród nich bodaj najcenniejszy — Madonna szafkowa.

Rzeźbę tę odnajdziemy w sejneńskiej bazylisce, która także jest sama w sobie ciekawym zabytkiem architektury. Tego rodzaju rzeźby (z przełomu XIV i XV w.) znajdują się tylko w Sejnach, w Klonowce koło Pielni, w Lubiszewie pod Tczewem oraz... w Paryżu, Norwimberdze i Kopenhadze. Kilkadziesiąt kilometrów z Sejnu i znajdziemy się w Puńsku, niekwestionowanej „stolicy” litewskiego społeczeństwa zamieszkałego na terenie Polski. Tu koniecznie trzeba wejść do miejscowego muzeum regionalnego, gdzie zachwycą przepiękne litewskie tkaniny. Tu także można wysłuchać z ust Józefa Vainy ciekawej historii tej ziemi, który opowie także o niezmiernie ciekawym zjawisku, jakim są spotkania tu krzyża, zawierające w sobie (jednocześnie) kształt krzyża greckiego, łacińskiego, a ponadto elementy polskiego i słowiańskiego. Zapewne tu odzywa się echo wielowyznaniowego Wielkiego Księstwa Litewskiego, jak pisał E. Pietruszkiewicz, redaktor naczelny Austry — pisma litewskiego.

Z ojczyny pięknej Egli — królowej węzów (poznacie tę legendę będąc w tych regionach) powracamy znowu na Mazury.

To nie jest daleko. Z Suwałk do Giżycka

i Węgorzewa jedzie się spacerem 2 godziny. I warto tak właśnie, spacerowym tempem jeździć. Po drodze są piękne lasy, gdzie łatwo o spotkanie z borówkami i... czego na pewno nie macie u siebie, z płochliwą sarną lub majestatycznie ustępującym z drogi łosiem. W pobliżu Węgorzewa w Borkach (puszcza Borecka) możecie spotkać w tamtejszym rezerwacie żubry. A w samym Węgorzewie polecam tamtejsze Muzeum Regionalne, które szczyci się posiadaniem wspaniałego zbioru (kilkanaście tysięcy) pisanek i wielu rzeźb tamtejszych twórców ludowych. Wśród nich zaś rzeźby Słonimskiego, którego dzieła eksponowane są w wielu renomowanych światowych galeriach.

W ogóle woj. suwalskie jest skarbnicą sztuki ludowej. Jest to bowiem skupisko wielu narodowości (Litwini, Ukraińcy, pochodzący z Rusi Starowiercy) i Polaków ze wszystkich regionów, którzy na Mazury przybyli po wyzwoleniu. Stąd też przeplatają się tu wpływy kultury ludowej z każdego zakątka Polski.

Być może czytelnik poczuje pewien niedosyt spowodowany słownym skromnym opisem walorów krajoznawczych. Nie wynika to z braku chęci, lecz z braku umiejętności. Bo czy można opisać widok stada łabędzi na spokojnej wodzie, stadko pasących się sarn, strzeliste wieże kościołów odbijające się w wodzie, radość z wyciągnięcia takiej ryby? To trzeba zobaczyć, nie można bowiem zamknąć piękną kilku puszczy, setek jezior i dziesiątek rzek w najdłuższym nawet tekście.

Więc dodam tylko, że — jak świadczy o tym lata minione — „złota polska jesień” najpiękniejsza jest na Mazurach, na Pojezierzu Augustowskim i Suwalskim. Wrzesień, to także warto wiedzieć, jest w tych rejonach zawsze piękny i pogodny. Wrzesień to brak tłoku, lepszy wypoczynek po niższych cenach.

W szczycie urlopowym nie macie wyboru. We wrześniu wszystkie biura turystyki oferują wszystko według waszych chęci.

Szczegółowych informacji udzielają: Spółdzielcze Biuro Turystyczne „Turysta” ul. Kościuszki 30, tel. 27-09, telex 852494 oraz wszystkie biura turystyki i zakwaterowania Suwalsko-Mazurskiego Przedsiębiorstwa Turystycznego „Wigry”, Augustów, pl. J. Krasieckiego 9, tel. 23-95, tlx 852359, Elk ul. Armii Czerwonej 11, tel. 36-37, tlx 852347, Goldap, pl. Zwycięstwa 10, tel. 464, tlx 852695, Giżycko, ul. Mickiewicza 33, tel. 33-83, tlx 0526492, Olecko, ul. Sembrzyckiego 33, tel. 22-47, tlx 852305, Pisz, ul. Ratuszowa 7, tel. 23-76, tlx 0526467, Suwałki, ul. Kościuszki 71, tel. 32-88, tlx 853258 Węgorzewo, ul. Sienkiewicza 1, tel. 20-49, tlx 0526454.

Opracował:
STANISŁAW KULIKOWSKI



Suwałki z lotu ptaka

Suwalskie KRAJOBRAZY

Jeżeli, Czytelniku Drogi, podczas wrześniowego urlopu zechcesz odwiedzić Suwalszczyznę, do czego autor pomieszczonego obok artykułu tak pięknie i serdecznie zaprasza, skorzystaj i z mojej rady: zażywając wywczasów i podziwiając istotnie wspaniałe krajobrazy, przeglądaj też „Krajobrazy”, te w cudzysłowie i z dużej litery, czyli regionalny tygodnik suwalsko-mazurski.

Podczas lipcowego biwaku w okolicach Sejnu, gdzie od kilku lat regularnie jeżdżę, ot tak, z zawodowej ciekawości, nabyłem jeden numer pisma i odtąd — zauroczony — aż do wyjazdu pilnie czytałem wszystkie następne. „Krajobrazy” niczego nie udają, nie próbują ścigać się z „Polityką”, „Przekrojem” czy „Perspektywami”, są od tych renomowanych tygodników najzupełniej odmienne, niemal w całości zwrócone ku historii i współczesności swej ziemi, w której redakcyjny zespół zdaje się być szczerze zakochany. Turysta znajdzie tu mnóstwo artykułów, artykułków i notek, które z pewnością go zaciękawia, począwszy od rubryki „Suwalsko-mazurskie od A do Z” po cotygodniową kolumnę „Krajobrazy turystyczne” poświęconą najróżnorodniejszym osobliwościom regionu. Redaktor tej kolumny jest zarazem autorem sąsiedniego, a zaczynającego się na pierwszej stronie artykułu, w którym zawarł, niestety, zaledwie cząstkę swej przebogatej wiedzy o Suwalszczyźnie.

Piszę to śmiało, bez obawy posądzenia o koleżeńskie reklamiarstwo, bo człowieka w ogóle nie znam, na czygo go nie widziałem, nie wiem nawet młody jest czy raczej stary i skąd u niego taka sprężka dociekliwości. Było bowiem tak, że ledwo wróciłem do Łodzi, a zasiadłem do maszyn i w szóstym liście zaproponowałem kolegom z dalekich Suwałk współpracę, którą dziś właśnie inaugurujemy. Nie chwaleb więc „Krajobrazy” dlatego, że mam z tym pismem kontakt, lecz odwrotnie: w imieniu „Odgłosów” nawiązałem z tym pismem kontakt, ponieważ wydaje mi się być godne pochwały.

Tyle tytułem wstępu i należnych czytelnikowi wyjaśnień. Jednocześnie chciałbym spełnić skromną prośbę redakcji „Krajobrazów”, które jako pismo regionalne w zasadzie poza województwo nie wychodzi i w takiej na przykład Łodzi są chyba prawie zupełnie nieznane.

Otoż redakcja prosi turystów — w tym turystów dziennikarzy również — o listy, zwłaszcza krytyczne, mówiące o niedogodnościach i trudnościach w spędzaniu urlopu, choć również — jeżeli takie były — miłych rozczarowaniach. Pismu mniej natomiast zależy na komplementach pod adresem samej przyrody, bo rdzenni mieszkańcy Suwałk

szczerzy świetnie wiedzą, że bardzo tu pięknie, że lasy, woda, grzyby, ryby no i tak dalej.

Podaję adres „KRAJOBRAZY”, Kościuszki 32, 16-400 SUWAŁKI. Następnie, iżby dać dobry przykład, zaczynam pierwszy.

Kochani Moili Pierwszą i najpoważniejszą reklamą składam w sprawie grzybów, bo dwa lata temu byłem w sierpniu i zebrałem mało, rok temu również byłem w sierpniu i zebrałem bardzo mało, a tym razem usiłowałem wstrzelić się w lipcowy wysyp i nie zebrałem niczego w ogóle!

Pretenzji tej nie zgłaszam wprawdzie bezpośrednio ani do redakcji „Krajobrazów”, ani nawet do wojewody suwalskiego — choć nie wygasła jeszcze u nas moda obwiniania władz absolutnie o wszystko — jako że wedle mojej grzybiarskiej wiedzy sprawił to po prostu brak deszczu, fakt jednak pozostaje faktem i mogę się zniechęcić, zniechęcony zaś wrócić w stare, równie tajne kąty w zielonogórskim.

Dlaczego tajne, zapytamy?

A dlatego tajne, że nazw małych, jak to mówią „zabitych deskami” wsi — najlepiej bez sklepu, a już bezwzględnie bez kiosku z piwem — prócz najbliższych przyjaciół nie zdradzam nikomu, niech co setny czytelnik „Odgłosów” zechce się tam wybrać, a z miejsca zrobi się ruch, jak na Piotrkowskiej. Koledzy z redakcji w ogóle popełnili poważną niedyskrecję cytując fragmenty moich ściśle prywatnych listów, na szczęście bażgrz jak kura pazurem, przeto prawdziwą nazwę miejscowości przekreślił w druku tak dokładnie, że diabeł się nie potapie. No i bardzo dobrze, że przekreślił.

Reklamacja bardziej serio, choć również raczej nie do gospodarzy regionu skierowana, to absolutny brak gazu do turystycznych butli. Chciałem wszcząć nawet prywatne śledztwo w tej ogromnie istotnej dla indywidualnych turystów kwestii, ubiegło mnie jednak „Życie Warszawy”, które w artykule „Zupa czy opony?” (numer z 17 sierpnia br.) pisze:

„Propan-butan powstaje, mówiąc w skrócie, podczas przerobu ropy naftowej. Bez wadzenia się w szczegóły techniczne wygląda to tak: podczas rafinacji ropy powstaje butan, można go nadal mieszać z propanem i wyjdzie gaz do butli. Ale można też butan przerabiać na butadien. Butadienem ładują zakłady chemiczne w Oświęcimiu, aby zrobić przy jego pomocy kauczuk i jego pochodne, konieczne z kolei do wytwarzania detali z gumy, głównie opon samochodowych”.

Ten jeden podstawowy akapit wyjaśnia tajemnicę na pozór tytułu artykułu, w dalszym zaś wywodzie autor — Marek Kowuński — przedstawia m. in. kłopotliwy dyalekt wojewodów: „daj gaz turystom, czy instytucjom i gospodyniom domowym posiadającym mieszkanie z kuchenkami zasilany wyłącznie propanem-butanem, turysta robi się tu z natury rzeczy jak gdyby mniej ważny, przeto autor proponuje nieszczytnie, aby nabyli sobie całkiem nowe kuchnie na denaturat bądź benzynę. No, ale benzyna też jest reglamentowana, więc jak z tym będzie?”

I tu drobne wyznaczenie osobiste, a zaraz potem pewien postulat, choć nie bardzo wiem, pod czym adresem.

Wyznając jest takie oto: jestem upartym, nieznośnym, zupełnie nie przystosowanym do życia legalista. Lubię wiedzieć, co mi wolno, czego nie wolno, a skoro już wiem — staram trzymać się w granicach przepisów, choć jest to uciążliwe, a niekiedy nawet niedorzeczne, bo i niektóre przepisy są wręcz księżycowe, przeto człowiek, który się ich pilnuje, wychodzi w oczach otoczenia na przygłupka. Mimo wszystko chciałbym wiedzieć tymczasem w dziesiątkach przewodników — oczywiście nie tylko po Suwalszczyźnie — które w życiu przewertowałem, podobnych informacji ze świecą się nie znajdzie.

Tak na przykład — zameldowany, rozbitny z namiotem na prywatnym gruncie, zaopatrzony w zezwolenie na pobyt w strefie nadgranicznej i tak dalej i tak dalej — miałem dziwną fantazję czasami coś tam jadać. Z zaopatrzeniem nie było źle: mleko po 20 zł litr, ale prosto od krowy, nie oszukane, świetne, sery, śmietana, jajka, nawet kury, a czasami i ryby — wędkarzem bowiem nie jestem — dostawałem się bez trudu, po mięso czy wędliny trzeba było postać w kolejce, ale w końcu cała rozległa Polska w kolejkach po mięso stoi.

Tyle, że gazu miałem za mało, aby gotować codziennie, kwitków na benzynę też za mało, aby codziennie do restauracji jeździć. Coż więc ja robię? Przy pomocy, powiedzmy, pana Zenka, miejscowego specjalisty od najdziwniejszych robót, w bezpiecznej odległości od ściany lasu, stawiam sobie na polanie kafłową kuchnię. Kafle nie są kradzione, bo z rozbiórki starego pieca, ruszt kupiony, od tej strony wszystko gra.

Tu jednak pytanie: czy wolno stawiać na polanie kuchnię, bo kuchnia to jakby początek domu więc początek całkiem nielegalnej i pozbawionej nadzoru budowy... A jeżeli wolno już stawiać kuchnię, nad którą nie ma ani kawałka dachu, to czy i czym wolno w tej kuchni palić? Oczywiście nie polezę do lasu i nie będę ścinał co najpiękniejszych drzew, ale czy wolno mi bezkarnie wziąć dawno uciętą i dawno reszniejącą gałąź? Wszyscy inni biorą, więc chyba wolno, ale jeżeli trochę dalej, w przesieku, już trzy lata leżała i z wolna próchniejąca wycięta kiedyś wałda drzewa, to czy — i od kogo — mogłbym sobie kawałek takiego drzewa kupić, dopóki nie „butwieje do reszty”?

Same tajemnice, aż wstyd pytać, bo mieszkańcy wsi tylko się śmieją i wzruszają ramionami. Coś tam, panie, wolno, czegoś, panie, nie wolno, ale kto tam dobrze wie i kto by się tym przejmował. Przecież to i tak, panie, zgnije, w próchno się rozpysie.

Oczywiście, że się rozpysie, ale we mnie taka ciekawość siedzi: kradnę, czy nie kradnę, jeżeli poszukam leśnika i zechcę kupować — a kupować będę mało, przecież nie szykuje na tej polanie bankietu na sto osób — wdrzwi mnie leśnik, czy całkiem poważnie wynisze rachunek??

Przyznaję, że są to wątpliwości, które dość mało wzruszają przeciętnego, statystycznego Polaka, ale jeżeli już jestem taki nietykalny to może dla podobnych ciężkich frajerów wydrukować jakiś „Zbiór przepisów dla turystów”? Ewentualnie od razu z wyskokiemi, erzywien, żeby człowiek mógł sobie wybierać post, sucho żarcie, czy palenie po płytach 1900 złotych jeden obiad (ale tylko w przypadku, gdy nas ktoś przyłapie).

Postulat poprowadzenia podobnego instruktażu podrzucam tedy „Krajobrazom” i ich kukułcze jajo. Może się coś takiego turystom przyda, może zaś — jako że przepisów mamy w Polsce ilość niezliczoną, a niektóre są całkiem wesołe — nowa rubryka okaże się najśmieszniejszymi garściami cytowanym przez „Politykę” przebojem pisma na sezon następny.

Łączę pozdrowienia.

JERZY PANASEWICZ

ODGŁOSY 13

kolumna ajencyjna

Kolumna czwarta
1.22.10 od pierwszej

Cena proponowana: 500 groszy (bilonem)

Od Ajenta

W tym numerze postanowiliśmy wprowadzić pewną ważną i istotną innowację: otóż od teraz wszystkie numery będą numerowane. Zaczynamy całkiem niespodziewanie od kolumny czwartej, ponieważ trzy już się wcześniej ukazały.

Jednocześnie wprowadziliśmy cenę, jeszcze nie umówioną, bo my się na taką paszkarską cenę nie zgadzamy, ale proponowaną przez redakcję — matkę (wyrodną — dodajmy), czyli przez „Odgłosy”. Otóż cena ta wynosić ma 500 groszy, koniecznie w bilonie. Wiąże się z tym pewien problem, który zamierzamy w przyszłości zbadać i naukowo rozpatrzyć: dlaczego to moneta 1 groszowa zyskuje na wartości, choćby na rynku numizmatycznym, a moneta 1 złotowa traci, bo na wet zapalek za nią kupić nie można? Więcej, że złotówkę nie można dostać i-groszówki, ale za i-groszówkę można dostać nawet parę 10-złotówek. Ukrywa się w tym jakaś wielka tajemnica, będziemy ją jednak tak długo drążyć, aż wydrążymy.

Przy okazji chcieliśmy pięknie podziękować Kolegom Drukarzom, na których uzależniamy się na trzeciej Kolumnie Ajencyjnej, ponieważ pierwsza Kolumna Ajencyjna wyszła trochę kulawo. Już jednak drugą Kolumnę Ajencyjną mieliśmy gotową przed terminem, dlatego na tej oto czwartej Kolumnie Ajencyjnej dziękujemy za drugą Kolumnę Ajencyjną, przepraszając za to, co napisaliśmy na trzeciej Kolumnie Ajencyjnej. Nie mogliśmy natomiast na trzeciej Kolumnie Ajencyjnej wprowadzić poprawek, ponieważ wtedy byłaby się ona spóźniła na piątą Kolumnę Ajencyjną, a więc następnej, musielibyśmy napisać to, co napisaliśmy na trzeciej Kolumnie Ajencyjnej, czyli poprzedniej.

Po tym przejrzystym wyjaśnieniu wszystkie nieporozumienia uważamy jednak za niebyłe, a tatuaż kazał nawet dopisać, że jak się tylko odkuje, to wyrazi swoją wdzięczność w sposób bardziej przekonujący.

Za Ajenta
CORKA AJENTA

Horacy Safrin CHELMSCY MADRALE

Do lekarza chełmskiego przychodzi stary Żyd.

— Co panu dolega?

— Panie doktorze, ja strasznie kaszlę.

— A ile pan ma lat?

— Siedemdziesiąt.

Doktor po namyśle:

— A gdy pan miał czterdzieści lat, to pan kaszlał?

— Nie.

— A gdy pan miał pięćdziesiąt lat, to pan kaszlał?

— Broń Boże!

— A gdy pan miał sześćdziesiąt lat, to pan kaszlał?

— Nigdy w świecie!

— Więc powiedz pan sam, z ręką na sercu, kiedy właściwie pan ma kaszleć, jak nie teraz?!

...

Madry Joel, duma Chełmna, otrzymał list. Otwiera kopertę i wyciąga z niej biały, nie zapisany arkusz papieru. Ogląda go ze wszystkich stron i po dłuższym namyśle orzeka:

— To na pewno od mego starszego brata Dawida. My się gniewamy...

(Z książki „Przy szabasowych świecach — wieczór drugi”. Wydawnictwo Łódzkie 1981).

Razem urodziliśmy się i razem żyjemy, ja i mój żóładek. Zygmunt — wołam na niego. Nie zawsze zgadzamy się. Szczególnie napięta sytuacja zaistniała w okresie mego dojrzewania. Do dzisiaj mam kłopoty z przystosowaniem się.

Pewnego razu poszliśmy do restauracji. Siadamy. Patrzmy. Widzimy, że inni też siedzą. Czekamy. Patrzmy. Czekamy. Podchodzi XYZ-kełner. Zamykamy. Czekamy. Potem czekamy... Jemy. I wszystko było mi dobrze, gdyby nie opierał się. Ja zjadłem, a on nic. Mówię do niego: „No, Zygmuś, traw teraz”. A on nie. „Co to, pana nie słuchasz?”. Wreszcie, po paru minutach zaczął burczeć ze złości i wydawać bliżej nieokreślone dźwięki. Zrobił co do niego należało, ale, niestety, przez półtora dnia byłam w niezgodzie.

Ostatnio zdarza się mu to często. Ja wiele rzeczy potrafię zrozumieć, ale on nie podchodzi do życia racjonalnie. Mówię

Wojciech Kawecki

ŻOŁĄDEK I JA

do niego: „Słuchaj, zachodzą w życie procesy ilościowe i jakościowe tłumaczące wiele zjawisk przyrody, musisz to zrozumieć”. Nawet próbowałem go przyuczać do tych dialektycznych przeobrażeń. Zjadłem któregoś dnia 10 mielonych oczekując gwałtownego przejścia z ilości w jakość. „No, Zygmuś, przemiana dialektyczna”. Czekaliśmy parę minut. Niestety, ilość przeszła w różnorodność i jako taka ukazała się naocznie, nie dając żadnej jakości. Zygmunt nie może zrozumieć takich prostych równań jak: 1 paczka masła = 4 paczki margaryny, 1 mleko tłuste = 3 mleka chude + śmietanka, 1 chleb jasny = 2 ciemne, 1 słoik dżemu truskawkowego + ser = 16 twarożków truskawkowych...

Jednak zasada przemian dialektycznych lepiej funkcjonuje przy spożywaniu napoi, szczególnie jednego. Wówczas, za każdym razem jak tylko zmienia się ilość, Zygmunt szybko przemienia to w jakość. Proces ten odbywa się przy niewątpliwie dużej pomocy koleżanki „Wątroby”, której końcowy efekt jest dobrze znany dojrzałym mężczyznom.

Ostatnio człowiek więcej stoł, żeby zjeść, niż ja. A mój Zygmunt tylko na gotowe. A może by tak wymyślić jakieś „perpetuum mobile”. Żeby to tak wszystko samo w sobie i dla siebie, bez tych kartek.

OD REDAKCJI STRONY AJENCYJNEJ: Autora prosimy o skontaktowanie się z nami, wystarczy telefonicznie. Inni — jak było to w modzie — użyłby z pewnością głupich wykrętów, a my powiemy z całą otwartością: zachachemiliśmy gdzieś adres, zaś bez adresu będą trudności płatnicze. Płacimy raczej mało, lecz płacimy i nigdy nie oszukujemy przy płaceniu — oto nasza zasada, której zamierzamy być niezłomie wierni.

SZEF KUCHNI

Lektury przy jedzeniu

Nasz przepis na „Kiełbasę żmudzką” (podany za książką Biruty Markuzy Bienieckiej „Kolduny, pyzy i inne przysmaki”) wywołał entuzjazm, ale i oburzenie, zwłaszcza pewnej pani, która przedstawiając się jako PRZEDWOJENNY MAGISTER nazwała nas „ludźmi małej wiary” i oświadczyła, że sprzeda resztki biżuterii, zapożyczy się, a nasz niewykonalny ponoć przepis zrealizuje, a nawet przyniesie próbkę do degustacji. Chciałaby jedynie wiedzieć, jak w małym mieszkaniu w blokach urządzić wędzarnię.

Odpowiadamy z ręką na sercu: nie mamy zielonego pojęcia. Że jednak uwielbiamy degustować (za wyjątkiem, rzecz jasna, wyrobów państwowej garmazerni, absolutnie niejadalnych), podajemy specjalnie dla Pani Magister prosty przepis na:

SZYJKI RAKOWE W CIEŚCIE

20 raków, łyżka maki, jajko, 2 łyżki masła, szklanka sosu rakowego.

Raki dokładnie umyć, gotować w osolonej wodzie ok. 15 minut. Wyjąć oddzielnie szyki i kleszcze obrać je z łusek. Jajko roztrzepać dodać maki i pół łyżki ukłóconego do białości masła. Dodać odrobinę soli i dokładnie wymieszać. Szyki rakowe obtoczyć w przygotowanym cieście i usmażyć na gorącym maśle. Ułożyć na półmisku i zalać sosem.

SOS RAKOWY

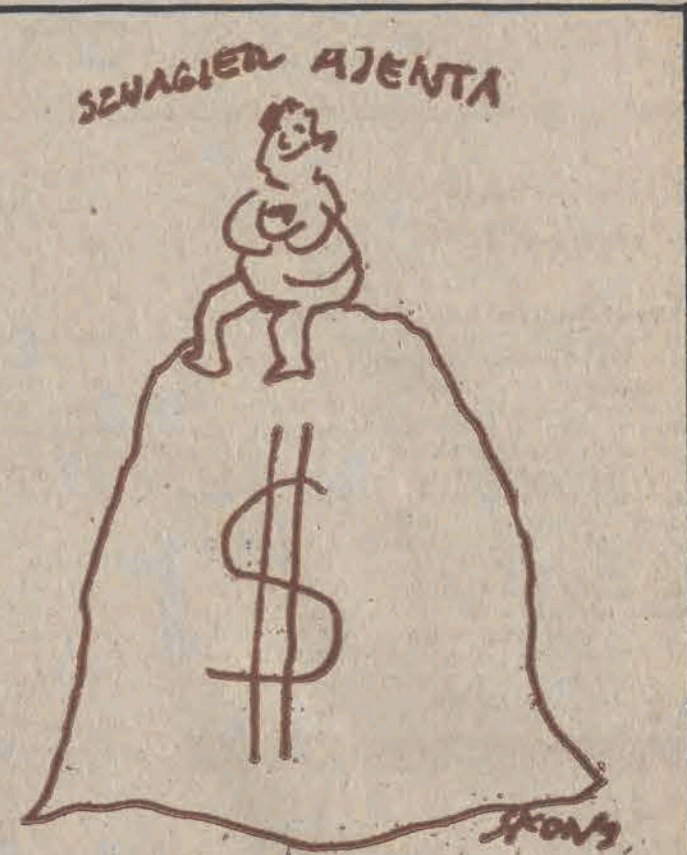
Mięso z kleszczy przepuścić przez maszynkę lub dokładnie utrzeć włożyć na stopione masło, dodać łyżkę wody i chwilę dusić. Zdjąć białą pianę, ostudzić. Surowe żółtka, przygotowane jak wyżej masę i łyżkę masła ogrzewać w rondelku płynie mieszając, aż sos stanie się gęsty. Wówczas dodać sól, łyżeczkę soku z cytryny i dokładnie wymieszać. Zalać nim usmażone szyki lub zalać nim inne potrawy.

SZEF KUCHNI



Bez cienia wstydu

To oto zdjęcie zostało wykonane w pierwszych dniach jakże upalnego tegorocznego sierpnia, z czego jasno wynika, że jest obrzydlive i be-wstydu. Trzeba bowiem nie mieć ani cienia wstydu, aby opałać się pod kwarcówką i zierać bezcenną energię, zamiast po prostu wyleżeć na słońce.



Narysuj sobie sam!

Równo dwa tygodnie temu, na drugiej — jeszcze nie numerowanej — Kolumnie Ajencyjnej, pozostawiliśmy trochę wolnego miejsca, proponując jednocześnie Czytelnikom, aby spróbowali tam coś śmiesznego narysować. I oto co się narobiło: artysta — plastyk Skony (pisze się „Skony”, a wymawia „Józef Skonteczny”, albo odwrotnie) natychmiast wyrysował naszego szwagra i to tak jakoś sprytnie, że szwagier wyglądał jak drukowany. A potem zaczął umawiać kogoś się do, że on tylko ma porządek numer „Od-głosów”, a wszyscy inni numery z niedrukiem, czyli felerne. Otrzymałszy egzemplarz do prezencie długo biliśmy się ze sobą, gdyż za ten unikalny, jedyny w świecie numer pisma z oryginalnym rysunkiem otrzymalibyśmy na byle akcji kolekcjonerów krocie. Zwycięzła jednak zawodowa uczciwość. Rysunek reprodukowujemy, na użytek Prokuratury i MO wyjaśniamy jednak, że choć szwagier istotnie „siedzi na zielonych”, to jego zasoby są o wiele, wiele chudsze, zaś sam szwagier jest o wiele, wiele grubszy.

AJENT

Dariusz Muszer

OPOWIEŚĆ MĘŻCZYZNY

Począł dość szybko jak na miejscowe warunki przemieszczać się od stacji do stacji. W przedziale spalonego brudem wagonu siedziało pięć osób. Podróżni w celu przeważnie monotoni stuktury żelaznych kół zabawiali się różnymi historiami. Wspólnie ustalono reguły: każda opowiadka musiała zawierać element niesamowitości dramatyzmu, dziwności. Mile widziano zbrodnie i to te, które po spełnieniu zostały w szczególności skomplikowany sposób. Wysłuchano już trzech kryminałów. Każdy z nich zawierał przynajmniej po trzy trupy. Płaczący się w makabrze krwi podróżni trwali w nasyceniu po kolejnej dawce grozy.

— Może teraz ja — odezwał się wliczony w podnieszony sweter mężczyzna.

Pozostali podróżni milcząco zgodzili się.

— Moja historia — zaczął mężczyzna — jest trochę inna niż te, które dotychczas usłyszeliśmy. Nie wątpię w uczciwość i prawdziwość moich przedmówców, ośmielam się powiedzieć, że historia, którą opowiem, zdarzyła się naprawdę i to nikomu innemu tylko mnie. Osobiście jestem bohaterem zdarzenia.

Tak, zaczęła chyba od tego, że posiadam cechy, co chyba wszyscy państwo widzieli, jeszcze dość młodego człowieka. Mam trzydzieści parę lat i wciąż jeszcze pozostaję w wolnym stanie. Historia wydarzyła się dwa lata temu i do dziś nie jestem pewien, czy to był sen czy rzeczywistość.

Otóż nadszedł dzień, gdy moje cierpliwe wyeksploatowanie na cichy kąt zostało wynagrodzone. Nie bez kozery będzie tu wspomnienie, że zawód mój technika budowlanego i sumiennosc, z jaką wykonywałem prace były mi w tym bardzo pomocne.

Mając trzydzieści dwa lata otwarłem drzwi własnego, choć spółdzielczego mieszkania. Pokój z kuchnią i łazienką — moje wymarzone kawalerskie królestwo.

Nie będę państwa zanudzał dłuższym opowiadaniem o moich perypetiach związanych z przeprowadzką bowiem tylko jedno: nastąpił wreszcie wiecór. Pierwszy wiecór: we własnych, oblepionych tapetą ścianach. Zmęczony pracą udałem się na spoczynek. Zasnąłem.

Przepraszam państwa, tylko zapalę.

Mężczyzna dukał w porozrywanej paczce papierosów. Po chwili wypuszczając nosem dym kontynuował swoją opowieść:

— Tak, zmorzył mnie sen. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nagle poczułem się bardzo dziwnie. Miałem wrażenie, że ktoś znajduje się w moim mieszkaniu. Leżałem chwilę z otwartymi oczami. Dziwne uczucie nie opuszczało mnie. Kanapa na której spałem znajdowała się naprzeciwko oszklonych matowo drzwi. Między nieosłanionymi płaskimi szklami zamalowały mi błądy zarysy postaci. Po chwili postać stała w pokoju, blisko mojej kanapy. Odniosłem wrażenie jakby przeniknęła przez drzwi. W każdym razie nie dostrzegłem żadnego ruchu kłamek.

Postać o bladym, rozedrganym kształcie nie miała w sobie nic z budowy ludzkiej. Nie można było określić czy jest to kobieta czy mężczyzna. Była jakby biaława plama zamulająca miejsce w przestrzeni. Odniosłem wrażenie, że można byłoby wlać ją do butelki i przybrałaby jej kształt.

Począł stanąć na stacji Mężczyzna w podnieszonym swetrze przerwał swoją opowieść.

— Proszę dalej — lekko zniecierpliwiony łysawy starszy mężczyzna wpatrywał się w mówcę.

— Czułem — kontynuował mężczyzna, gdy tylko począł dźwięczać się z miejsca — że powietrze w pokoju dziwnie drga. Jakieś przesuwające się w moim kierunku prądy. Trudno mi to nazwać. Wrażenie, że coś uświata wlewało się do mojego mózgu. Coś co było początkowo dla mnie nieoczekiwanym. Wreszcie zrozumiałem. Postać chciała ze mną rozmawiać. Nie mogła zrobić tego za pomocą języka. Penetrowała swą mocą ośrodek w moim mózgu. Sukała. Czułem, że szuka. Byliśmy na jednej fal. Proces rozmowy przebiegał w moim wnętrzu, jakby w głębinie moich oczu.

— Już czas — nadala postać.

— Na co: już czas? — wysłałem fale.

— Tak nadszedł już czas człowieku.

Zrozumiałem to przyszła po mnie śmierć. Więc tak to się odbywa, więc tak ona wygląda. Bez strachu spokojnie przychodził...

— Dlaczego właśnie ja?

— Wszyscy się o to pytacie.

— Ale ja?! Ja jestem młody, zdrowy! Dostałem mieszkanie!

— U nas nie liczy się czas, u nas istnieje przestrzeń. Wszystko jest przestrzenią. Nie ma wymiarów, jest przestrzeń. Musisz iść. Musisz.

— Nie chce, nie pójdę!

— Musisz.

— Dobrze, bardzo dobrze, ale jak ja mam to zrobić? Jak? Mam skoczyć z drugiego piętra? — przelałem białawą postać desperacki prąd.

— To to jest drugie piętro? — doszła do mnie rozmawiająca się z wolna fala — Drugie, drugie, drugie...

Mężczyzna w podnieszonym swetrze zgasił papierosa. Począł przekraczać właśnie rzekę. Łomot kół, jakby stonowany, rozprzaskiwał się w czysty jesienny krajobraz.

— Potrzebnałem głowę, — ciągnął mężczyzna swoją opowieść — Młokowata plama znikła. Długo leżałem zastanawiając się nad tym co widziałem albo wysnułem. W końcu usnąłem.

W PODNIESZONYM SWETRZE (Prawie horror)

Rankiem, jak zawsze pobiegłem do pracy. Wróciłem koło szesnastej. Przed blokiem spotkałem dozorcę. Zamiatał chodnik przed wejściowymi schodami.

— Dzień dobry panu — powiedziałem.

— A, dzień dobry. Słyszał już pan?

— Nie a o co chodzi?

— Eee, panie nowy blok, niedawno oddany, a już mamy swojego nieboszczyka.

— Jak to?

— Ano tak. Staruszek z trzeciego piętra. Zawał serca. Szkoda człowieka... Nie dosłyszałem co dalej mówił. Obróciłem się na pięcie i szybko udałem się do pobliskiego baru.

Mężczyzna w podnieszonym swetrze zaciął nogę na nogę i patrzył po twarzach słuchaczy.

Było cicho. Stukot kół na złączach i cisza.

— Może teraz ja — odezwał się po chwili łysawy starszy.

Wszyscy zwrócili wzrok na kolejnego mówcę.

Krzysztof Drzewiecki

O TYM, KTÓRY CHCIAŁ ZROBIĆ KABARET

Powiedział wczoraj literat
stową płacąc za setę:

„Na co mi cały ten kierat —
życie jest kabaretem”.

1

Spojrzenie znad szachownicy

Krzysiu, zostań Lope de Vega!

Krzysztof Drzewiecki — młody człowiek, którego skądinąd bardzo lubię — cokolwiek mnie rozbawił, a jednocześnie rozczulił swoim felietonem „Nie ma lekkiego, czyli na co wydaje” pomieszczonym w ostatnich „Odgłosach”.

Nie to, iżbym sądził, że w ogóle mało elegancko jest mówić o pieniądzach, są to bowiem zwykłe burżuazyjne przesady, ale Krzysiu usiłuje wzmocnić czytelnikom (a także, jak sądzę, Wydziałowi Finansowemu), że bez samochodu, telefonu, magnetofonu i dyktafonu nie może po prostu żyć, a już w żaden sposób tworzyć. Przy willi się nie upiera, nie byłby jednak przeciwny, w czym zresztą jesteśmy mniej więcej zgodni, z tym, że ja wolałbym zwykłą, prostą, góralską — lecz zelektryfikowaną, a nawet skanalizowaną — chałupę na szczycie jakiegoś pagórka (jednak nie góry, bo na górę trudno jest mi już się wdrapać). Tyle tylko, że wszystkich tych nowoczesnych i skądinąd wiele pożytecznych wynalazków ani trochę nie mogę uznać za niezbędne do wykonywania tak zwanej pracy twórczej.

Mozart nie korzystał z samochodu, gdy w wieku sześciu lat jeździł koncertować po arystokratycznych, a nawet monarszych salonach, mimo to koncertował ponoć dobrze, podrośszy zaś napisał parę cieszących się niejakim uznaniem kawałków. Wielki Beethoven nie miał magnetofonu, a nawet gdyby miał, mało by mu z tego przyszło, gdyż tragiczny los sprawił, że ku schyłkowi życia niemal zupełnie oślepnął. Nie mógł usłyszeć tego, co stworzył, a jednak my po dziś dzień słuchamy go w skupieniu. Istnieje też bliskie pewności przypuszczenie, że kiedy Bachowi zlecano napisanie to tego, to znów owego, zlecenia te nie były wydawane telefonicznie. Bach musiał się po nie całkiem osobiście fatygować, mimo to twórczość Bacha uchodzi za wcale niezłą.

Krzysiu mógłby się wprawdzie w tym miejscu wturcić, że powołuję się na kompozytorów, gdy on jest autorem tekstów, więc „nie ta specyfika”, ale weźmy takiego Szekspira. Są zeznania naczynych świadków, którzy widzieli jak Szekspir na prapremierę własnej sztuki dymał na piechotę, nie zawiązując głowy. Urzędowi Miasta Londynu podaniem o przydział benzyny. Dość liczne grono niedowłarków twierdzi wprawdzie, że rozmaitych tam „Hamletów” nie Szekspir pisał, a któryś z lordów, nie wykluczone, że lord Bacon, ten zaś z pewnością jeździł powozem, jeżeli jednak nawet tak, biedny lord Bacon wszystko musiał nagryzmolić własnoręcznie, nie posiadając bowiem maszyny do pisania, nie mówiąc już nawet o zwykłym długopisie.

Jak on, bądź Szekspir, bądź jeszcze ktoś inny zdolałby sklecić te swoje dramaty i komedie w tak prymitywnych, a nawet antysanitarnych (ówczesny Londyn nie był skanalizowany) warunkach — pozostała tajemnica. Mimo to skłócili i dzieła ich cieszą się po dziś dzień niejakim wzięciem.

Szczególnie zastanawiający zdaje się wszelkie przypadek Lope de Vega. Pisać komedie zaczął jako nieletni pętek, po-

tem dostał się na dwór księcia Alby, cohiba za żołnierza, został — a liczne miłostki, ożenił się raz, po drugi, w końcu — a licząc duchowną, a nawet został doktorem teologii. A jednocześnie pisał, pisał i pisał — stworzył ponad 1800 pełnospektaklowych sztuk, z czego około 600 zostało zachowanych. Zaś z tych 600 część przełożono na angielski, część na francuski, część na rosyjski, część na polski, część na inne jeszcze języki, słowem cały świat zna Lope de Vegę po kawałku, a tylko Hiszpania — w całości. Zresztą i to nie jest pewne, gdyż Tadeusz Breza napisał był kiedyś, że żaden człowiek mający jakiegokolwiek inne zajęcia nie jest w stanie zachowanej twórczości Lope de Vega w całości przeczytać i obiektywnie ocenić.

Zwał, Krzysztofie Drogi, PRZECZYTAĆ I OCENIĆ, a biedny Lope de Vega musiał te 600 zachowanych i dwakroć tyle nie zachowanych sztuk własnoręcznie napisać, bez dyktafonu i wysoko kwalifikowanej sekretarki! W dzisiejszych czasach byłoby to absolutnie i naukowo niemożliwe, zresztą i sekretarce nie koniecznie przeciecz.

Niedaleko szukając ten oto felieton byłby z pewnością trzy razy bardziej dowcipny, gdybym — jak lubię — zapisał go czerwonym winem i zakąsał wędzonym węgorem, tymczasem zapisuję go herbatą „Madras”, a zakąsam byle kielbasą. Istnieje ponad wszelką wątpliwość udokumentowany związek między tekstem a zakąską, bądź — alternatywnie — między tekstem a talestem. Z braku zakąski należy posługiwać się talentem, a z braku talentu — zakąską, dlatego też MKiS czyni głęboko niesłusznie nie występując o przyznanie twórcom wytwornych zakąsek na specjalne, artystycznie wydrukowane kartki.

Życzę Ci jednak, Krzysiu (i sobie również) iżby ministerstwo o te zakąski wystąpiło. Życzę Ci zawsze pełnego baku benzyny, wytwornego samochodu, telefonu (a nawet radio-telefonu), magnetofonu, dyktafonu i czego byś tylko sobie nie wymarzył. Nade wszystko życzę Ci jednak, abyś mimo dogodności nie omieszczał został Lope de Vega, bo tego faceta wystawiają na całym świecie, niekiedy nawet podkładając pod jego słowa jakieś melodyjki. Z czego — gdybyś nowym Lope de Vega został — byłby jakże sympatyczne dewizy dla Ciebie, ZAKS-u, no i kraju również. A dewiz krajowi potrzeba. Tobie też pewnie.

JERZY P.

2

Małe zdzi- wienia

Kupiłam buty. W tłoku, bez mierzenia, ten sam numer co zawsze. W domu okazało się, że są trochę za małe. Paragon zginał, nie mogłam więc oddać ich do sklepu. Nie pasowały na żadną ze znajomych i przyjaciół. Fakt, że buty stoją, a chodząc nie ma w czym, lrytował mnie bardzo. W końcu zdecydowałam się zanieść je do jednego z licznych prywatnych sklepików opatrzonego napisem: „Kupno — Sprzedaż”. W pierwszym właściciel uprzejmie wyjaśnił, że wkrótce zamyka na urlopową przerwę, więc nie chce gromadzić towaru. W drugim zaproponował, abym przyszła za parę tygodni, w trzecim także

znalazł jakieś wytłumaczenie, dlaczego butów kupić nie może, w czwartym stwierdził krótko, że to go nie interesuje. Odwiedziłam jeszcze kilka sklepów, ale butów się nie pozbyłam. W każdym z nich na półkach stało po kilka par obuwia — od nowych adidasów za 5 tysięcy złotych po strasznie zniszczone, niewiadomego pochodzenia buciska w cenie około 1 tysiąca złotych. Ich stan był taki, że trudno przypuszczać, aby kupił je ktokolwiek. Nie sądzę również, aby było to wyłącznie stare obuwie właściciela i jego rodziny. A więc zostały chyba kupione. Tylko czy właściciel, człowiek interesu, mógł bez jakiegoś ukrytego celu zrobić aż tak zły interes? Odpowiadając sklepiki, spotykałam w nich ludzi, którzy także chcieli sprzedać jakieś towary pochodzenia krajowego lub zagranicznego. Nie raz były to przedmioty dość atrakcyjne, ładniejsze nawet od znajdujących się w sklepie, a proponowane ceny nie były zbyt wysokie. Do transakcji nie dochodziło. W najlepszym wypadku proponowano klientom zgłoszenie się za parę tygodni lub miesięcy. Raz tylko udało mi się być świadkiem innego załatwienia sprawy.

Klient oferował kilkanaście sztuk farb do włosów. Natychmiast został poproszony na zaplecze, gdzie — jak sądzę — sprawa została sfinalizowana. Z pewnością hurtowe zakupy są bardziej od detalicznych opłacalne, ale czy prywatne sklepiki mają służyć jedynie interesom ich właścicieli? Wydaje się to trochę dziwne, więc się dziwię, patrząc na swoje niepotrzebne buty, których, mimo drastycznych braków na rynku, nikt nie chce.

Powodów do zdziwienia mam zresztą więcej. Następnego dostarczył mi pogotowie ratunkowe. W lutym byłam zmuszona skorzystać z usług tej instytucji. Lekarz przyjechał, udzielił pomocy i odjechał, nie wspominając nie o pieniądzach. Po kilku miesiącach otrzymałam wezwanie do wpłacenia na konto pogotowia 20 zł. Na druczku naklejone były znaczki wartości 15 zł. Czyli pogotowie postanowiło zarobić na mnie na czysto 5 zł. Za tę sumę lekarz, sanitariusz i kierowca mogą kupić sobie po bułce. Nie pokrywa ona w żadnym stopniu kosztów przejazdu karetki. Wątpię również, aby uzbierało się z tego na pensję dla panielki zajętej wypisywaniem takich druczków i wysyłaniem ich do pacjentów, a także naklejeniem licznych znaczków. Ja służbę zdrowia bardzo szanuję i „piętakiem” obdarzać nie będę. Nie zaplać. Poczekam na wezwanie do opłaty z karą i odsetkami. Może wtedy będzie to suma mniej śmieszna, a za to pokrywająca na przykład koszt benzyny.

Kolejnego powodu do zdziwienia dostarczył mi znowu handel. W pobliskim sklepie sprzedawano alkohol na stoisko cukierniczym, przy którym tworzyły się ogromne kolejki. Przeważały w nich panie, ale nie dlatego, że kupowały własne „wyborową”. Większość realizowała kartki na słodycze, kupowała kawałek placaka na podwieczorek. Odważanie po kilkanaście dekagramów cukru, wybieranie batoników, wycinanie kartek trwa długo i stąd kolejki. Gdy alkohol znalazł się także w wolnej sprzedaży, uruchomiono przedko dodatkowe stoisko. Teraz po butelkę stoi się 10 minut, a po cukierki nadal około godziny. A gdyby rozdzielili słodycze na dwa stoiska? Ale właściwie kierownictwo sklepu postąpiło słusznie. Wódka przecież wspiera budżet państwa, a od słodyczy się tyje.

Następny przykład z dziedziny telekomunikacji. Mając w perspektywie całodzienną pracę, zadzwoniłam do biura zleczeń z prośbą o budzenie o godzinie 8.30. Najpierw zdziwiła się pani po drugiej stronie słuchawki „O 8.30?” — zapytała. — Mam obudzić o wpół do dziewiątej? — upewniła się. — Na pewno o tej porze? — zażądała potwierdzenia! Nie wiedziałam powodów, aby obudzanie tłumaczyć, dlaczego nie mogę wstać o własnych siłach w porze, gdy porządni ludzie powinni od dawna pracować. Pomyślałam jednak: zdziwił się, jeżeli ten telefon zadzwonił. Tym razem nie musiałam. Nie zadzwonił.

AGATA

3

Zdarzenia i zwierzenia

Mece- nat

Instytucja mecenatu — czyli opieki nad nauką i sztuką — jest tak stara, że nawet nie wiemy, kiedy się urodził ów rzymski arystokrata Caius Cilivius Mecenat, który na początku naszej ery był u boku cesarza Oktawiana pierwszym w dziejach ministrem kultury. Mecenat był protektorem artystów — i to chyba on odkrył, że poprzez ich twórczość można wpływać na kształtowanie opinii publicznej. Imię Mecenasa przetrwało przez blisko 2 tysiące lat jako synonim patrona sztuki i literatury.

Od imienia Mecenasa powstał termin „mecenat”, chociaż sama instytucja jest jeszcze starsza, bo przecież istniała już w starożytnej Grecji. Potem w średniowieczu mecenat nad sztukami sprawowali cesarze bizantyjscy, na Zachodzie Europy — Kościół.

W Polsce mecenat zapoczątkowali ostatni Jagiellonowie, a rozwinęli Wazowie. Wybitnym mecenasem sztuk był Jan III Sobieski, a najbardziej konsekwentny mecenat rozwinął Stanisław August, dążący do stworzenia narodowych kadr artystycznych. Za przykładem królewskim mecenat artystyczny uprawiali niekiedy możni, wódcy — Zamojscy, Braniewscy, Czartoryscy; episkopat, zakony i władze municypalne najbogatszych miast.

Współcześnie rolę mecenasa pełni państwo — głównie w systemie socjalistycznym, ale także, choć w mniejszym stopniu, w państwach kapitalistycznych.

Artyści z dobrodziejstw mecenatu korzystali zawsze i korzystają nadal, choć często się przeciwko niemu buntują. Mówiące dokładnie — buntują się przeciwko wymaganiom mecenasa, nie przeciwko płynącym z opieki profitom.

Przypominam te wszystkie oczywistości dlatego, że byłam świadkiem pewnej rozmowy, o której chcę opowiedzieć. Oto u znanego rzeźbiarza miejscowa parafia zamówiła figurę Chrystusa. Artysta zamówienie wykonał i stworzył dzieło oryginalne i pełne ekspresji. Chrystus na krzyżu był wyobrażony w postaci więźnia i chociaż odbiegała owa postać od standardowych wzorów — a może właśnie dlatego — robiła ogromne wrażenie. Artysta mógł być dumny ze swego dzieła.

Lecz oto w pracowni zjawił się mecenas — proboszcz parafii, który po obejrzeniu rzeźby powiedział: „To na pewno jest dzieło sztuki, ale ja tego nie przyjmę. Zrobił pan zmianę: po pierwsze — broda, po drugie — długie włosy, po trzecie — przepaska nie z pasiaka, ale normalna, po czwarte — korona cierniowa, po piąte — nie może być taki chudy...”

Artysta bez słowa wykonał inną rzeźbę — tak jak sobie życzył mecenas. I bardzo dobrze — uważam, że mecenas miał prawo do swojej racji, zamawiając figurę do kościoła, a nie na wystawę.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że do artysty-rzeźbiarza przyjdzie państwowy mecenas i powie: „To jest dzieło sztuki, ale dla moich celów potrzebne jest inne i proszę wprowadzić zmiany...”

Jakże się wtedy rozlega krzyk, że się niszczy prawo twórcy do swobodnego wyboru formy — jakie się młota gromy pod adresem mecenasa, który mówi to samo, co ów proboszcz z krakowskiej parafii... A przecież każdy mecenat wymaga spełnienia określonych założeń — i nie ma w tym nic dziwnego, bowiem trwa ta zasada od dwóch tysięcy lat. Przez tak długi czas można to było zrozumieć.

JERZY
WILMAŃSKI

4

Sport

Śmierć w sporto- wym poje- dynku

Do napisania tego felietonu skłoniła mnie śmierć — tragiczna i nieoczekiwana, jak każda zresztą, gdy spotyka młodego człowieka — Władimira Smirnowa, radzieckiego florecisty. Powinno więc zatytułować ten felieton śmiercią w sportach, ale śmierć w sportach zdarzyła się nie tylko na planie. Stąd więc ten tytuł, szerzej jakby ujmujący zagadnienie.

Są takie dziedziny sportu, gdzie stopień zagrożenia dla życia jest wysoki i wtedy stosuje się specjalne zabezpieczenia. Na przykład w sporcie samochodowym, motorowym sporcie wodnym, motocyklowym. Zagrożenie dla życia ludzkiego, dla zdrowia występuje przy skokach narciarskich, spadochronowych, sportach wodnych, zjazdach narciarskich. Poważne kontuzje odnoszą piłkarze i bokserzy.

Kiedy jednak sportowcy wychodzą na boisko, stają na skoczni, startują do zjazdu, wyskakują ze spadochronem z samolotu nie myślimy o zagrożeniach, wierzymy w ich kunszt, umiejętności, podziwiamy walkę, piękno różnych dyscyplin sportu. Zawodnicy są młodzi, sprawni, dobrze wytrenowani, mamy pewność, że przed startem zbadał ich lekarz, zdecydował, czy są w stanie stanąć do walki. Mamy zaufanie do sprzętu, którym się zawodnicy posługują. Aż nagle...

W tym roku już dwa wypadki śmiertelne zdarzyły się w Anglii na tamtejszych torach żużlowych. W kwietniu podczas meczu ligowego zginął

Lynn — Brett Alderton, a w lipcu, na stadionie w Hackney, Amerykanin Denny Pyeatt. Zderzył się on przy szybkości 80 km na godzinę z innym zawodnikiem, odniósł obrażenia głowy i zmarł w szpitalu. W telewizji oglądaliśmy często kraksy na torach wyścigowych samochodów formuły pierwszej. Wypadki zdarzają się na torach wodnych. Wszędzie tam, gdzie człowiek porusza się w szybkiej maszynie, wypadek może zdarzyć się częściej niż gdzie indziej.

Na szermierczej planszy wypadki należą do rzadkości — wypadki śmiertelne. W 1937 roku w Paryżu, podczas akademickich mistrzostw świata, Rene Monal został śmiertelnie ugodzony przez Meksykanina Haro Olive. W 1951 roku w Sztokholmie, na mistrzostwach świata, Duńczyk Luchova śmiertelnie trafił Finą Vartię. W 1955 roku zginął na planszy szablisty francuski Tourard. W czasie treningu zginął włoski szablista Angelo Nizzy. Zdarzały się też mniej groźne wypadki, na przykład włoski szablista Dalla Francia trafiłony został w oko i stracił 25 proc. wzroku.

Władimir Smirnow od 10 roku życia uprawiał szermierkę. Urodził się w Prokurno koło Jarosławia. W Moskwie zdobył złoty medal olimpijski w florecie. W 1980 i 1981 roku odniósł sukcesy w Pucharze Świata. Był u szczytu sportowej kariery. Aż w Palazzo dello Sport EUR trafił go w skroń kawałek ulamanej klingi florecisty Mathiasa Behra. Przewieziono go natychmiast do rzymskiej kliniki Agostino Gemelli, podłączono do aparatury, która doprowadziła do normalnej pracy serca i płuć. Cóż z tego, kiedy Władimir Smirnow nie odzyskał przytomności. Jego mózg był już martwy.

Mathias Behr, który przecież nie ponosi winy za wady w spręcie, prawdopodobnie nie wróci już na planszę. Przeżył szok. Poczuł się jak morderca. FIE zastanawia się, czy nie zakazać używania floretów typu belgijskiego, jakim posługiwał się Mathias Behr, a którego uchwyt uniemożliwia dłoń florecisty zmuszając do pchnięcia całym ramieniem. Tak się też fatalnie złożyło, że w przeddzień tego smutnego wypadku, który okrył żałobą cały sportowy świat, Szwed Goran Abrahamsson i kierowana przez niego komisja wydali opinie, że używane maski szermiercze są prawie idealnie bezpieczne. Okazało się — jak relacjonuje z Włoch, w „Przeglądzie Sportowym”, Jerzy Jabrzmanski — że maska Władimira Smirnowa miała wadę materiałową w tym jednym miejscu, w które trafił kawałek ulamanej klingi florecisty.

Zresztą — jak donosi z Rzymu ten sam Jerzy Jabrzmanski — w Palazzo dello Sport EUR działy się różne dziwne rzeczy, jak choćby zastosowanie, po raz pierwszy na mistrzostwach świata, nowych plansz szermierczych, większości zawodnikom — poza gospodarzami — nie znanych. Gospodarze zaprosili również grupę sędziów — przed mistrzostwami oczywiście — na wypoczynek nad Adriatykiem. Sędziowie ci prowadzili później spotkania włoskich szermierzy z przedstawicielami innych drużyn państwowych. Są to wszystko wydarzenia, które rzucają cień na sportową imprezę i które nie powinny się zdarzać. Od tego w końcu są sportowe, europejskie i światowe federacje, aby dbały o właściwe warunki na dławach — i nie tylko — imprez. Ich zadaniem jest zadbać tak o wszystko, aby sport był nie tylko bezpieczny, ale i nie budził podejrzeń natury moralnej. Wybierając się na boisko, do hali sportowej oczekujemy widowiska sportowego, czystej, pięknej i bezpiecznej walki.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

Pragnać pokazać — przynajmniej w przybliżeniu — wizerunek niszczycielskiej siły współczesnej broni atomowej, spróbowałbyśmy opisać jakby skutki eksplozji bomby megatonowej, a więc o sile wybuchu 80-krotnie większej niż ta, która wybuchła nad Hiroszimą, w tak wielkim mieście jak Nowy Jork. Eksplozując na wysokości około 2500 metrów nad Empire State Building bomba taka zniszczyłaby niemal wszystkie budynki w promieniu siedmiu kilometrów, względnie na powierzchni około 160 kilometrów kwadratowych. Spowodowałaby także poważne uszkodzenie wszystkich budynków w promieniu 13 kilometrów lub inaczej mówiąc — na przestrzeni 500 kilometrów kwadratowych.

Konwencjonalny materiał wybuchowy wytwarza szybką falę wstrząsu, która uderza we wszystko co znajduje się w jej zasięgu, natomiast fala ciśnienia wielkiej broni atomowej trwa kilka sekund... Porywa ona ludzi wraz z gruzami budynków i przenosi ich w inne miejsca. Na obszarze owych 160 kilometrów kwadratowych wała się mury, dachy unoszą w powietrze, domy rozpadają się (o ile już przedtem nie zostały zrównane z ziemią). Ludzie i przedmioty wylatują na ulicę. Mówiąc językiem technicznym, w strefie tej występują różne wartości nadciśnienia wynoszące co najmniej 0,35 kilopond na centymetr kwadratowy. (Nadciśnienie oznacza presję, o którą zostaje przekroczone normalne ciśnienie atmosferyczne). Fala ciśnienia działa na odległość 16 kilometrów od punktu zerowego, z morderczą szybkością w powietrze odłamki szkła i inne ostre przedmioty. W Hiroszimie, gdzie budynki położone z dala od centrum były niskie i przeważnie zbudowane z lekkich materiałów, mieszkańcy na ogół nie doznali obrażeń od rozpadających się domów. Natomiast w Nowym Jorku, zabudowanym wielopiętrowymi domami skonstruowanymi z ciężkich, masywnych materiałów, eksplozja bomby na pewno zabiłaby miliony ludzi.

Ulice Nowego Jorku to wąskie wąwozy biegnące między niebotycznymi murami budynków. Ludzie znajdujący się w tych budynkach będą wyrzuceni na zewnątrz, a ci, którzy znajdą się na ulicy zostaną zmiażdżeni spadającą na nich lawiną ludzi i gruzów. W odległości 3 km od punktu zerowego wiatr osiągnie prędkość 650 km na godzinę, a w odległości dalszych 3 km prędkość wiatru będzie wynosiła jeszcze 300 km na godzinę.

Huragan w ruinach

Tymczasem ognista kula się rozszerzy, osiągając przeciętną wielkość półtora kilometra i wzniesie się na wysokość ponad 10 kilometrów. Leżące pod nią miasto będzie przez 10 sekund w zasięgu jej

żaru. Każdy kto znajdował się będzie na ulicy w odległości 15 km od punktu zerowego umrze prawdopodobnie na skutek oparzeń trzeciego stopnia. Kto znajdzie się bliżej centrum eksplozji zostanie zwęglony na miejscu. Na obszarze od Greenwich Village aż do Central Park będzie panował tak wielki żar, że metal i szkło będą się rozpuszczać. W promieniu 15 kilometrów od punktu zerowego, będą się zapalać łatwopalne przedmioty jak papier czy wyschnięte liście. Na przestrzeni 670 km kwadratowych masowo wybuchą będą pożary.

Ktoś stojący mniej więcej w odległości 3 kilometrów od punktu zerowego, mógłby tak oto opisać przebieg wydarzeń, gdyby oczywiście ocalał, co nie jest możliwe; przez 30 sekund ognista kula oświeciła oślepiającym blaskiem cały obszar. Jednocześnie od jej żaru zapaliły się wszystkie przedmioty z materiałów łatwopalnych i rozpuściły się szyby w oknach, lampy w latarniach, słowem wszystko co zrobione jest z metalu lub szkła. Ludzie na ulicy zamieniali się w mgnięciu oka w żywe pochodnie, a za chwilę spalili się na węgiel.

W jakichś pięć sekund po pojawieniu się światła uderzyła fala ciśnienia, niosąc ze sobą gruz i nie istniejącego już centrum miasta. Niektóre budynki były zgniecione, jak gdyby ze wszystkich stron ścisnęła je jakaś olbrzymia pięść. Inne zostały wyrwane z fundamentów i porwane w kierunku przedmieść. Rozpadły się wszystkie budynki na West Side od południa aż po północ. Huragan szaleje z szybkością 650 kilometrów na godzinę z południa na północ, po czym uspokaja się na kilka sekund i zaczyna wiać z mniejszą szybkością w przeciwnym kierunku. Przez ten czas ognista kula tkwi na niebie, płonąc przez dziesięć sekund. Wkrótce potem wszystko przesłaniają olbrzymie, gęste tumany pyłu i dymu i w górę unosi się grzyb atomowy (o przeciętnym przekroju 20 kilometrów), gasząc światło słońca. Dzień zamienia się w noc.

W przeciągu minuty wybuchają w mroku pożary, spowodowane zarówno falą żaru jak i eksplozjami przewodów gazowych, zbiorników z benzyną itp. Zrywa się potężny wiatr wiejący w kierunku centrum eksplozji. Podobnie jak w Hiroszimie mogą powstać wiry powietrzne, może też spaść radioaktywny deszcz, wytworzony na skutek nadzwyczajnych warunków meteorologicznych towarzyszących eksplozji. Wkrótce pojedyncze pożary łączą się w jeden wielki ogień, który zależnie od kierunków wiatru może zamienić się w ścianę żaru lub ognistą zawieruchę. W pierwszym przypadku wiatr pcha przed sobą ścianę ognia, dopóki na jego drodze znajduje się dostateczna ilość materiału zapalającego się. W przypadku ognistej zawieruchy, wiejący prostopadle wiatr, spowodowany przez sam ogień wysysa całe powietrze z okolicy tak, że płomienie zamieniają się w jedno wielkie ognisko o ogromnej sile wiatru.

Bunkry nie dają żadnej ochrony przed pożarami: ogień wypala cały tlen w powietrzu i wytwarza trujące gazy, które du-

Zabójczy żar ognistej kuli

W Stanach Zjednoczonych ukazała się — i natychmiast znalazła się na liście bestsellerów — książka Jonathana Schella „The Fate of the Earth” („Los Ziemi”) kreśląca przerażający obraz atomowej zagłady, gdyby doszło do konfliktu między wielkimi mocarstwami. Fragment książki opisujący zagładę Nowego Jorku ukazał się w „SÜDFRANKEISCHER ZEITUNG” z dn. 6 czerwca br. Drukujemy go z nieznacznymi skrótami, polecając zwłaszcza uwagę tych, którzy sądzą, iż wojna mogłaby zmienić ład utrwalony w Europie. A przecież w podobnej wojnie ciosy zadawałyby obie strony i można wyobrazić sobie ognistą kulę równie dobrze nad Manhattanem, co nad Warszawą. A wówczas — nawet krzyża nie byłoby komu wznosić...

są ludzi znajdujących się w schronach. Po nalocie aliantów na Drezno, jeszcze w kilka dni po pożarach, wywołanych przeciętą eksplozją konwencjonalnych bomb, wewnątrz wielu schronów było tak gorąco, że gdy przy otwieraniu drzwi wtargnęła tam fala powietrza wszystko w środku się zapalało. Szansę przeżycia miał tylko ten, kto zdążył uciec ze schronu na początku nalotu. (Trudno przewidzieć jaki rodzaj pożaru wybuchnie w określonej sytuacji. Wiemy z doświadczenia, że w Hiroszimie szalała burza ogniowa, a w Nagasaki panował żar).

Ucieczka niedobitków

Na tej straszliwej widowni rozgrywałyby się sceny męki i śmierci podobne do tych, jakie widziano w Hiroszimie — teraz jednak ginęłyby nie setki tysięcy, ale miliony ludzi. Mieszkańcy Nowego Jorku

byliby, podobnie jak mieszkańcy Hiroszimy, na wszelkie możliwe sposoby poparzeni, pogruchotani, potłuczeni i napromieniowani. Miasto wraz z ludźmi byłoby jednym wielkim rumowiskiem i stosem trupów. Ocaleliby przede wszystkim ci, którzy znajdowaliby się na obrzeżach centrum eksplozji, ale gdy zaczęłyby się pożary, musieliby zostawić na pastwę ognia swych niedolnych do ucieczki bliskich lub umierać razem z nimi.

I tak jak wówczas w Hiroszimie, wśród płonących ruin pojawiłyby się procesje okaleczonych, niemych ludzi, powoli opuszczających okolice spustoszonej strefy. W tym przypadku jednak procent ludzi mających szansę ocalenia byłby mniejszy niż w Hiroszimie, gdyż im większy jest obszar zniszczenia, tym mniejsze możliwości ucieczki. Jeśli, jak to było w Hiroszimie, obszar spustoszenia jest względnie niewielki, wszyscy ludzie, którzy są jeszcze zdolni poruszać się, mogą się przenieść w bezpieczne miejsca zanim pojedyncze ogniska połączą się w jeden wielki pożar. Jeśli jednak obszar zniszczenia obejmuje wielką powierzchnię, jak to byłoby w przypadku eksplozji bomby megatonowej i płomienie rozprzestrzeniałyby się na odległość 15 kilometrów, gdy na ulicach piętrzyłyby się gorejące gruz, a dzień (jeśli przyjmiemy, że naloł nastąpiłby w dzień) zamieniłby się w nieprzenikloną ciemność — wówczas nie byłoby możliwości, aby ci, którzy znajdowali się na samym krańcu spustoszonej strefy, mogli się uratować. W Nowym Jorku większość ludzi zginęłaby w miejscu, gdzie znajdowali się w momencie eksplozji — lub przynajmniej niedaleko stamtąd.

Krater śmierci

Gdy bomba nie zapala się w powietrzu lecz na ziemi, wytwarza się kula ognista o przekroju mniej więcej 3 kilometrów i pochłania wszystko.

Nie wiemy dokładnie, co dzieje się z miastem, które znalazło się wewnątrz kuli ognistej, można jednak przypuszczać, że przeważająca część znajdujących się tam rzeczy najpierw zostanie starta na proch, a następnie roztopi się lub wyparuje. Wszystkie istoty ludzkie na tym obszarze zmieniają się w dym i popiół — po prostu ich nie będzie. Wy-

tworzy się krater o przekroju mniej więcej trzech bloków domów i o głębokości 60 metrów. Poza tym powstaną ogromne masy odpadów radioaktywnych, gdy przy tworzeniu się grzyba atomowego uniosą się w górę pyły i zgłiszczą, aby następnie znów opaść na ziemię. Niemal bezpośrednio potem opady te skażą ziemię masą promieni, o sile promieniowania wielokrotnie przewyższającej śmiertelną dawkę i zabiją każdego, kto zdołał się ocalić przed żarem i będzie próbować uciekać.

Trudno sobie wyobrazić, aby większa liczba ludzi z centrum miasta mogła przeżyć eksplozję bomby megatonowej na ziemi. Chmura radioaktywna w kształcie elipsy jeszcze przez następne 24 godziny opada na ziemię, przy czym przemieszcza się ona w kierunku wiatru, a więc jej usytuowanie i rozszerzenie się zależą od szybkości wiatru jaki będzie w momencie eksplozji wiał w określonym miejscu. Jeśli np. szybkość wiatru wynosi 25 kilometrów na godzinę, zabójcza chmura radioaktywna spada na obszar długości 80 kilometrów i szerokości 50 kilometrów. Na przestrzeni dalszych 200 kilometrów w kierunku wiatru opady radioaktywne nie spowodują wprawdzie ofiar śmiertelnych, ale wywołają wiele poważnych schorzeń.

Promieniowanie radioaktywne mierzy się u ludzi na podstawie „rem”, co jest skrótem angielskiego, określenia „Roentgen equivalent in man” („ekwiwalent Roentgena w człowieku”). Roentgen jest standardową miarą promieni Gamma i Roentgena, a dodatek „equivalent in man” informuje, że przy napromieniowaniu różnego rodzaju należy uwzględnić różne niekiedy rozmaite uszkodzenia biologiczne. Wiele spośród uszkodzeń jakich doznaje człowiek na skutek napromieniowania — jak np. zachorowania na raka i uszkodzenia genetyczne — zależy od skumulowanego działania dawki przyjmowanej w ciągu wielu lat.

Choroba popromienna kończąca się śmiercią wywołana jest „ostrą” dawką, pobraną w określonym czasie, a więc w ciągu kilku sekund lub w ciągu kilku dni. Prawie 90 procent tzw. „niezależnej od czasu dawki napromieniowania” pochodzącej z opadów radioaktywnych emitowanej jest do atmosfery w ciągu pierwszego tygodnia po wybuchu, podczas gdy normalnie pobierano by ją w ciągu kilku tysięcy lat (gdyby tyle lat trwało życie człowieka). Tak więc skumulowana w ciągu jednego tygodnia dawka może być odpowiednią jednostką miary, aby ocenić bezpośrednio uszkodzenia organizmu na skutek opadów radioaktywnych.

Wiatr niesie zagładę

Dawki zawierające tysiące „rem”, a więc takie, jakie wystąpiłyby w centrum miasta, zaatakowałyby system nerwowy, powodując śmierć w ciągu kilku godzin. Dawki zawierające 1000 „rem”, występu-

jące w odległości wielu kilometrów od centrum eksplozji (w kierunku wiatru) spowodowałyby śmierć w ciągu dwóch tygodni. Dawki o zawartości 200 „rem”, a więc takie, które wystąpiłyby w odległości 200 kilometrów od miejsca eksplozji (przy szybkości wiatru 25 kilometrów na godzinę) zabiłyby połowę wszystkich młodych, zdrowych ludzi, którzy byłiby ekspozowani na promienie. W tym przypadku choroba popromienna przebiegałaby w trzech etapach, jakie można było zaobserwować w Hiroszimie. Zależnie od kierunku wiatru chmura radioaktywna mogłaby również spaść na inne części stanu Nowy Jork, a także na poszczególne rejony stanów New Jersey, Pensylwania, Delaware, Maryland, Connecticut, Massachusetts, Rhode Island, Vermont i New Hampshire, zabijając miliony ludzi. To, co działo się na tak silnie skażonych obszarach, gdzie miliony ludzi przez wiele tygodni czekałyby na śmierć w męczarniach — byłoby czymś zupełnie bez precedensu.

Opisując eksplozję bomby megatonowej nad Nowym Jorkiem staramy się pokazać, jak przeżywaliby to ludzie. Jest jednak bardziej prawdopodobne, że na Nowy Jork zrzucono by bombę o mocy 20-megaton, a więc o mocy 1600-krotnie przewyższającej siłę eksplozji bomby hiroszimskiej.

Gdyby bomba o tej mocy eksplodowała na wysokości 9000 metrów nad Empire State Building, strefa zniszczenia, wlałaby się w promieniu około 20 kilometrów i obejmłaby obszar przeszło 100 kilometrów kwadratowych. Strefa, która byłaby potężnie zniszczona na skutek działania fali ciśnienia i gdzie nadciśnienie wynosiłoby co najmniej 0,14 kilopond na centymetr kwadratowy, leżałaby w promieniu circa 33 kilometrów i obejmowałaby powierzchnię 3700 kilometrów kwadratowych. Kula ognista miałaby przekrój około 6 kilometrów i wydzielalaby falę żaru przez 20 sekund.

Wszyscy ludzie znajdujący się na obszarze 31 kilometrów od punktu zerowego — zginęliby na skutek żaru. Ludzie obserwujący eksplozję w odległości kilkuset kilometrów oślepliby na pewien czas i groziłoby im chroniczne zaburzenia wzroku i schorzenia oczu. (Po próbną eksplozji 15-megatonowej bomby na atolu Bikini w marcu 1954 r. stwierdzono, że małe zwierzęta znajdujące się wówczas w odległości 550 kilometrów od miejsca wybuchu miały poparzenia siatkówki oczu). Przekrój grzyba atomowego wynosiłby 110 kilometrów. Miasto Nowy Jork i jego okolice zamieniłyby się w ciągu sekundy w martwą, zniwelowaną do gruntu, wypaloną pustynię.

